

PRZEGŁAD

NAUKOWY

TREŚĆ: Dalszy ciąg artykułu Karola Libelta o posłannictwie dziejowem narodów: *Ludy Germańskie na szczyście posłannictwa swego dziejowego.* — Poezja Nowy okręt na r. 1844, przez J. W. S — O niedorzeczności mniemań we względzie wynikającej szkody z uprawy płodów pokarmowych na wywóz za granicę. A osiągnięcia pożytku z ochraniającego, własny przemysł, systematu rzecz napisana p. b. Prof. Ekon. Polit. w Lye. W. (dokończenie). — Jedno ze spostrzeżeń W. Zhorzewskiego przez K. Dylewskiego. — Starosta i Dyabła Boruta Legendy przez Mieszczanina Łęczyckiego Autorowi opowiedziana.

LUDY GERMAŃSKIE

na szczyście posłannictwa swego dziejowego.

—•••••

DRUGĄ częścią misyi Germanów było zniszczyć świat Rzymski i zdeptać dawną Rome. Tego dokonali Gotowie w największej części. Frankom, co po nich przyjęli posłannictwo, pozostało zatem, na ruinach upadłego państwa Rzymskiego, wzniesić nowe państwo na zachodzie — państwo Chrześcijańskie światowładne — Rzym pogański zamienić na Rzym chrześcijański. Spełnił to Karól W. a potem Otto W.

Wnukiem Karola Martela, był Karol W. Olbrzymia to postać dziejowa. Wielki jako monarcha, wielki jako prawo-

Tom I. Poszyt III i IV.

2) dawca, wielki jako wojownik. W osobie swojej połączył całkowite postannictwo narodu, któremu blisko przez pół wieku władał. On w zaciętej, przeszło trzydziestoletniej wojnie, Sasów pokonał i nawrócił, — a obaliwszy owę sławną Irmin-sul, czyli kolumnę Irmina, stare bożyszcze bałwochwalców, obalił ostatek pogaństwa germańskiego. Z jednej strony tępił niewiernych Saracenów w Hiszpanii, z drugiej szerzył Chrześcianaństwo i granice swoje między Słowianami. Państwo jego, w którego skład głównie ludy germańskie wchodziły, rozlegało się od Ebro do Wisły i Cissawy, i od północnego morza aż do południowych Włoszech. Na tych obszernych krainach, z pośród ciemni i zarośli lasów Germanii, poświe-tlała oświata, już czysto chrześcijańska. Szerzyli ją uczeni duchowni, z Włoch i z Anglii sprowadzeni, pozakładane opactwa Benedyktynów i szkoły klasztorne. Głośny i świetny był na północy klasztor Kluniacki, na południe wśród Allemanów St. Gallen, — a między nimi przyświecało mnóstwo mniejszych szkół w Utrecht, w Leodium, w Kolonii, w Tryerze, w Corvey w Fulda, Paderborn, Hildesheim i. w. i. Odtąd więc duch nauki Chrystusa, przeszedł w ducha oświaty narodowej Niem-ców, i już, aż do 16 wieku, oświata chrześcijańska i germań-ska, jedno było.

Ostatniem dziełem Karola W. i koroną wielkich jego czynów, było wskrzeszenie państwa Rzymsko - zachodniego, i koronowanie się na Cesarza. Leon III, Papież, którego był Karól po wygnaniu wrócił na Stolicę Apostolską, włożył mu koronę cesarską na głowę, w sam dzień Bożego Narodzenia, 800 r. — i lud i senat Rzymski krzyknęli w uniesieniu: niech żyje ccsarz Rzymski — wielki i potężny — od Boga nama-szczony!

Tak dokonaniem zostało dzieło przeznaczenia. Powstał Rzym Chrześcijański. Po ulicach dawniej stolicy Cezarów, roz-legł się znowu głos: Caesar Imperator Augustus! Ale był to głos, jak gdyby z otworzonego grobu, w którym od wieków

już w proch się obrócili kości i Cezarów, i Senatu, i Ludu,—i tylko widmo z niego powstało, i przemknęło się, uchodząc na Kapitol, na Forum romanum, gdzie gromy i zwały, podczas, gdy po ulicach nowego Rzymu rozlegał się stary głos nowego Ludu. Nie był to już ten Cezar, przed którym postępowali liktorowie z rozgami i toporem, a wedle którego przechodząc gladyatorowie pomrukiwali: *morituri salutamus te Caesar*,—ale był to Cezar otoczony hierarchią kościoła, przed którym niesiono miecz i krzyż.

Następcy Karola W. podobnie, jak następcy Kłodoweusza, byli niedołężni i okrutni. Zschokke tak się o nich wyraża: „Synowie, wnuki i prawnuki tego nieszczęśliwego rodu, powymierali wszyscy, to na wygnaniu, to z wylupionemi oczyma, to po klasztorach, to na żebractwie. Byli to ojcobójcy i bratobójcy, znienawidzeni i zponieważani wtenczas jeszcze, gdy ich blask korony otaczał.“ Oświata chrześcijańska, tak silnie w korzenie za Karola W. ujęta, zaczęła upadać. Niedołężność była na tronie i w kraju. W braku spokoju narodowego, w braku siły moralnej, co by te różnorodne ludy jednego berła od Ebro aż do Cisawy w jedność utrzymać mogła, musiała się ogromna monarchia Karolowa rozpaść na części. — Stało się to kłótnią braci, synów Ludwika pobożnego, krwią stu-tysięcy Franków pod *Fontenay* obłąną. Traktatem w Verdun 843 r. powstały trzy państwa, narodowością na zawsze odtąd od siebie wydzielone: Francya, Włochy i Niemcy.

Tym sposobem, Niemcy wyłoniły się do osobnej narodowości, i oddzieliły się od Franków, którzy przez połączenie się ścisłejsze z Gallami (Celtami) i Łacinnikami, i język swój zmienili, i obyczaje, i coraz bardziej w nich gasła pierwotna plemienność germańska, mianowicie od wstąpienia na tron rodziny Capetów (987). Po raz drugi zatem wydarza się, że szczerp germański w podbojach południowej Europy wyradza się, i odbiega od plemienności swojej, jakby koniecznie przywiązanej do okolic północnego nieba. Równocześnie, kiedy

Francya wiązała się w osobne narodowe państwo nad Odrą, Wartą i Wisłą, powstała monarchia Mieczysława i Chrobrego. Granicami tych nowych państw ścieśnieni Niemcy, związali się także w naród, o wydatniejszych już cechach germańskich pod względem praw, nauk, obyczaj i języka. Sto lat jeszcze po Karolu W. utrzymali się Karolowiczowie w Niemczech. — Ostatnim był Ludwik dziecko, dla tego tak nazwany, że prawie niemowlęciem odebrał rządy państwa, a prawie dzieckiem umarł. Wszakże w rzeczy samej zdziecinniał ród wielkiego męża, przez niedołężność zniemowlęciał, i ani ślad nie pozostał wielkości pradziadów: Karola Martela, Pipina, i Karola W.

Po rozbiciu się monarchii Karola W. i po wyplenionym rodzie Franków, trzeba było po trzeci raz silnego nowego plemienia germańskiego, co by przejęło na się losy chrześcijańskiego świata. Duch dziejów powołać musiał nowy ród Germanów, świeży, nieużyty, nieprzepsuty obecnie wpływami, hy można, dzikich jeszcze obyczajów, — a w tym Ludzie wskresić wielkiego męża do dokonania tego dzieła. Jak poprzednio tak i teraz środek ciężkości, około którego grupić się miał świat chrześcijański, rzucony był na północ. Tam żył naród Sasów, w dzikich i leśnych okolicach Elby. Sali i Sprei — naród, co się z Germanów najpóźniej ochrzcił, co przed stu laty jeszcze czcił swoje Irminsul, co przez 32 lat bronił upornie wolności i religii germańskiej. Z początkiem X. stulecia, dom Saski powołany został do tronu, a plemie Sasów, niedawno przyciśnione i tępiące przez Franków, przejmuje rządy Świata chrześcijańskiego, i narzecz Saskie staje się, w pięć wieków później, przez tłumaczenie Biblii Lutra, językiem oświaty niemieckiej. Dziwnym zrządzeniem losu, krew nawet samego Wittekinda, najzaciętszego obrońcy Sasów w wojnie o niepodległość, przez matkę Ottona W. Matyldę, wróciło sobie berło, i dostało się na tron, na którym niegdyś zasiadał Karol, Sasów tępiiciel i pogromca.

Sto lat ledwie było panowania Sasów pod Henrykiem i trzema Ottonami. Są to najświetniejsze lata z dziejów Germanii. Otto I nosił na swój głowie, prócz korony niemieckiej, także żelazną koronę królestwa Lombardzkiego, złotą koronę cesarską Rzymsko-zachodniego państwa. Założenie Biskupstwa w Poznaniu, następnie Arcybiskupstwa w Gnieźnie, w ogóle szerzenie chrześcijaństwa na wschodzie, są w tym okresie dalszym ciągiem chrześcijańskiej misji Germanów. — Najważniejszym atoli wypadkiem jest układ Ottona W. z Papieżem Grzegorzem V, zawarty (962). Mocą tego układu, na wieczne czasy godność cesarza Ś. Rzymskiego Apostolskiego państwa połączoną została z koroną królów Niemieckich.

Misya zatem, uczynić z Rzymu pogańskiego Rzym Ś-ty apostolski, którą Karol W. czynem spełnił, — misya ta stała się za Ottona prawem, i upostaciowała się w dziejach rzeczywistém państwem, na byt tysiącoletni. — Królowie niemieccy występują odtąd w charakterach istotnych obrońców kościoła, w charakterze najwyższych świeckich zwierzchników katolickiego świata, mający prawo rozdawnictwa koron i najwyższych stopni w hierarchii kościelnej, samych papieży nie wyjąwszy, których wynosili i zatwierdzali w godności. Tak wysokie władzy swój stanowisko, potrafili utrzymać Ottonowie, wciąż o to wojujący we Włoszech. Z ich ramienia osadzeni byli na stolicy Apostolskiej papieże: Leon VIII, Grzegorz V, książę Sakskie, i uczony Sylwester II, znany dawniej pod nazwiskiem Gerberta.

Oświata chrześcijańska znowu w całym blasku zabłysła, i rozsiała z Niemiec promienie swoje na wschód i zachód. Powstały nowe klasztory i szkoły, między niemi najświetniejsze: Klasztor w St Gallen, gdzie żył kronikarz *Ekkerhard* i *Notker*, komentator psalmów — Klasztor w Corvey, gdzie przebywał dziejopis *Witzekind* — Klasztor Ś. Jana w Magdeburgu, gdzie się ukształcił Dytmar, biskup Merseburski, i Ś. Wojciech z Pragi odebrał wychowanie i wyświęcenie. W tym to także

czasie dziejowej świetności Germanów, Chrześcijaństwo, ich prawa i instytucje, zgoła duch oświaty germańskiej, zaczyna się zaszczeniać na plemionach słowiańskich, którym to wpływem, obszerny zwichnięty został pierwiastek narodowy tych plemion, i wstrzymaném przedwczesne jego rozwinięcie.

Cesarze z domu Frankońskiego byli już słabszego ducha. Konrad II i Henryk III zaledwie potrafili jeszcze utrzymać dawną powagę cesarską. Następcy stracili ją zupełnie. Prędzej czy później spodziewać się tego można było: że dwojaki rządy świata — świeckie i duchowne — dopóki je ludzie sprawować będą, w tém wydzieleniu się nie ostoją; — że przyjsć będzie musiało do starcia się władzy papieżkiej i władzy cesarskiej, gdy mąż silnej woli włoży na swą głowę koronę lub tyarę. A starcie to będzie walką zaciętą, bo zwycięztwo ma przynieść *jednemu*, niepodzielne panowanie świata w nagrodę.

Widzieliśmy już, że władza świecka znalazła była w Ottonie I wielkiego męża, co jęj szalę przeważył; widzieliśmy że cesarz był wszystkim, że z jego poręki zasiadali biskupi i papieże na Stolicach apostolskich. W sto lat (1073) zmieniła się kolej rzeczy, i u steru władzy duchownej, stanął mąż wielkiego ducha, a sprężystej żelaznej woli. Był nim Papież Grzegorz VII, z domu Hildebrandt. W cesarzu Henryku IV nie słabego znalazł przeciwnika, albowiem po kilkakroć powalony powstawał zawsze; — ale nie miał Henryk co Grzegorz, ani téj mocy duszy, ani téj nieugiętości woli.

Grzegorz olbrzymie powziął zamiary i do skutku doprowadzał. Postanowił wyzwolić się z pod opieki królów niemieckich, wznieść apostolską władzę nad wszystką i wielką władzę świata — odebrać monarchom władzę inwestytury biskupów, i koron nawet rozdawnictwo od siebie zależném uczynić. Środkiem ku temu miał być stan księży, oderwany od świeckich stosunków, przez przecięcie wszystkich jego interessów i sympatyj, i uformowany w osobne wielowładne, a

stolicy apostolskiej tylko uległe, państwo duchownych na całej kuli ziemskiej.

Na dopięcie tak olbrzymiego dzieła, trzeba było od razu wziąć się w zapasy z władzą świecką, skoncentrowaną podówczas w osobie Henryka, co jeszcze Grzegorza z ramienia władzy swojej cesarskiej, w godności następcy Piotra Ś. za-
twierdził. Pokazało się w tej walce, o ile siła ducha, siła moralna, potężniejszą jest od materyalnych środków. Potężny władca królestwa Niemieckiego, i cesarz Ś. Rzymskiego apostolskiego państwa, uznać musiał nareszcie, że nie podola działać w imie praw ludzkich przeciw temu, który działa w imie samego Boga; — musiał wyznać niższość swoją przed Namieśnikiem Chrystusa, w którego dłoni złożone klucze sumień ludzkich i pociski klątw kościelnych, straszliwsze od pocisków pioruna. Poniżony na duchu, i skruszony w sobie, przedarł się Henryk z niebezpieczeństwem życia przez Sa-
baudzkie Alpy, i pod oknami zamku księżnej Canossy, gdzie się natenczas znajdował Starzec Grzegorz VII, stał trzy dni na zimnie, boso i w pokutnej siermiędze, zanim go do siebie przepuścił Papież i na łono kościoła powrócił.

Zwycięztwo to kościoła nad najwyższą władzą monarszą, było tém zupełniejsze, że według słów Jana Müllera: „odniósł je Książd Stary i chorowity, nie z pomocą żelaza lub złota, ale potężny samą siłą duszy.“ Nie pomogło już Henrykowi zrywać się potem z takiego upokorzenia. Już potęga władzy cesarskiej była złamana, a Grzegorz, nabyte tém zwycięztwem prawo rozdawania koron, stwierdził natychmiast czynem. — Zbuntowani książęta Niemiec, odsadzili Henryka od tronu, i powołali Rudolfa księcia Szwabskiego na króla. Papież przesał mu koronę z tym napisem: *Petra dedit Petro, Petrus diadema Rudolpho.*

Walki o przewodnictwo w rządach świata między Papieżem i cesarzem, nie skończyły się ani ze śmiercią Grzegorza ani ze śmiercią Henryka IV. Zapelniają one całe dzieje je-

denastego i dwunastego stulecia, przeciągają się aż do śmierci Konradyna z domu Hohenstaufów, w środku XIII wieku. Walki uważane z naszego stanowiska, sprawdzają tylko słowa pisma: „Że królestwo Niebieskie nie jest z tego świata” że zatem wskrzeszenie państwa Rzymskiego, jako Świętego i apostołskiego, nie mogło mieć dziejowo-zaborczego charakteru, ale było samą ideą Chrześcijaństwa, urzeczywistnioną na tle politycznych światowych stosunków, w powadze i blasku majestatu panujących cesarzy; — że na koniec, w walce władzy najwyższej świeckiej z najwyższą duchowną, pierwsza drugiej uleść koniecznie musiała, bo pierwsza była ciałem, druga duchem Chrześcijaństwa, — pierwsza zewnętrzną tylko formą, druga tego uzewnętrznienia żywotną siłą. Kiedy Benedykt VIII, Papież, posłał Henrykowi II złote jabłko — glob kul ziemskiej z krzyżem na niem zatkniętym — symbol rządów chrześcijańskiego świata — wiedział co robił, albowiem rządy pod światem chrześcijańskim, mogli tylko piastować cesarze w Imieniu Chrystusa, w imieniu idei ożywiającej narody — a téj idei wyobrazicielem był Papież, uważany za Namiestnika Chrystusa.

W całym ciągu tych walk, przez 250 lat, cesarzom i królom Niemieckim szło jedynie o posiadanie rozkosznych prowincyj włoskich; myśl wskrzeszenia dziejowego Rzymu nie powstała w ich głowie, i kiedy Otto III zamyslał stolicę swoją przenieść do Rzymu — co téj myśli koniecznem powinno było być następstwem — nie myślał uczynić tego w tak rozległych dziejowych widokach: Rzym miał być więcej stolicą cesarza nie cesarstwa, bo Otto przenosił niebo włoskie nad leśniste okolice i półdzikie obyczaje Sasów.

Przeniesienie stolicy do Rzymu, zdawało się tak potrzebnem i blisko leżącym, z powodu ciągłej niespokojności Włoch, skoro się cesarz z wojskiem za Alpy oddalił, że kiedy przeniesienia tego nie uczynili cesarze tak potężni, jak Otto I i III, Konrad II i III i Barbarossa, widać jawnie, że stolicę Rzy-

mu uważali za stolicę Papieża, a zatem za stolicę duchowego chrześcijaństwa, której się nie poważali przemienić na stolicę świeckiego państwa. Samą godność swoją cesarską, królomie wszyscy Niemieccy uważali za tak ściśle zależną od namaszczenia odebranego z rąk Papieża, że żaden nie powążył się przyjąć tytułu cesarza Ś-go apostolskiego państwa, dopóki przez Papieża ukoronowanym nie został. Nawet Henryk V, deprecy swawolnie wszystkie prawa ludzkie i boskie, otoczony zgrają rycerstwa, na wszystko ważyć się gotowego, szanował przecież prawo koronacji przez Papieża, i uwięzieniem Paschalisa i wszystkich kardynałów, zmusił go do aktu koronacji. Przed samym dopiero początkiem reformacji (1508), Maksymilian I przyjął dla siebie i dla następców tytuł wybranego cesarza, niezależnie od koronacji Papieżej.

Pod takimi okolicznościami w świętem państwie apostolskiem, skoro raz tylko świecką powagę cesarzy złamaną została, już się przed władzą duchowną Papieża ostać w pierwszeństwie nie mogła, i widzimy: jak najdzielniejsi monarchowie z domu Hohenstaufów, trzymają strzemiona wsiadającemu na koń Papieżowi. Sam nawet Barbarossa, po bitwie pod Lignano, na kolanach obejmował i całował stopy Aleksandra III.

Walki tyloletnie Papieżów z cesarzami, są zatem emancypacją się ducha chrześcijańskiego od ciała, którego potrzebował, do urzeczywistnienia bytu swojego, ale które porzuca, gdy cel dopiętym już został.

Siłą oręża ludu germańskiego, chrystyanizm zformował się w jedność kościoła katolickiego apostolskiego, z jedną działającą głową, Papieżem — podniósł się do światowładztwa i zasiadł w tym charakterze na ruinach dawnego Rzymu. — Przez utworzenie zaś świeckiego Ś-go apostolskiego państwa, idea chrześcijaństwa przeszła w żywot polityczny narodu germańskiego, i utworzyła z ludów tego szczepu chrześcijańskie

państwa, a wpływ ich rozlał się szeroko na innoszczepowe narody Europy, i nadał dziejom chrześcijański charakter.

Dwa w tym czasie jeszcze przypadają historyczne wypadki i napady Normanów, i wojny krzyżowe, w ścisłym ze sobą i z całością dziejów zostające związku. Pierwsi, naród skandynawski, niemieckiego pochodzenia, robili wycieczki po wszystkich morzach, napadali nadbrzeżne kraje, ujściem rzek spuszczały się nawet w głąb stałego lądu, i byli postrachem Europy przez 2 wieki. Widzimy ich w Anglii, we Francji, w Neapolu, i na Rusiach, zakładających nowe państwa i dzielnice. Był to naród dziki, przedsiębiorczy, którego dopiero poludniowa oświata ugłaskała. Upatrywać w nim musimy nowy podlew krwi germańskiej od północy, lud przeznaczony do przygotowania wielkiego Europejskiego wstrząśnienia, jakie sprowadziły wojny krzyżowe. Bezpośrednio zaś, Normanowie, zalewając pierwiastkiem germańskim wszystkie ludy innoszczepowe w najodleglejszych punktach Europy, w Anglii, Neapolu i Rusi, i rozciągnąwszy nad nimi panowanie, pomogli przeważnie do przemiany całej Europy w duchu Chrześcijańsko - Germańskim. Zanim się germański pierwiastek do dojrzałości wyrobił, byli Normanie hamulcem, położonym pod kółko dziejów innoszczepowych ludów, mianowicie Słowian, aby się zawczasie na własnym pierwiastku nie rozwinęli ale dopiero po stopniu oświaty germańskiej, nową ideą zaświecili światu, ideą zapewne w pierwiastkowym ich usposobieniu i rozwijaniu się utajoną.

Obaczmy jakie mają znaczenie wojny krzyżowe i Chryścjanizm, skoncentrowany w kościele rzymskim katolickim i apostołskim, był tu najpotężniejszym kościołem z pośród wszystkich wyznań, przez jedność wiary, jedność głowy kościoła i jedność języka. To trojgo tworzyło jedność kościoła, prawdziwie chrześcijańską — bo królestwo jego nie z tego świata. W tym kościele nie było zatém narodowości, nie było ojczyzny, nie było żadnych partykularnych politycznych sto-

sunków — nie było w ogóle nic takiego, co by psuło jedność kościoła, do którego różne ludy, różne rządy, różne języki, różne interesa wchodziły. Taki kościół był najściślejszą, choć idealną jednością narodów katolickich, które wyróżnione ziemskimi stosunkami, tu, w stosunkach zaziemskich, czuły i wiedziały się jedną owczarnią pod jednym Pasterzem.

Atoli, gdy religia wszystkie przesiąka stosunki ziemskie, i jako duchowość żywota cały żywot socyalny i polityczny kształci i uiszcza — wpływ taki katolickiego kościoła, musiał być sprzeczny z rozwijaniem się narodowości ludów. Stało się więc: że i w Niemczech i w całej Europie, narody, przyjąwszy oświatę chrześcijańską, ujrzały oraz przytłumione i przywalone wszystkie źródła narodowego ducha. Język łaciński, język narodu umarłego, ukształcony i bogaty, dostał się w spuściźnie i kościołowi, co ze starego Rzymu światem, jak dawniej zawładnął, i właśnie jako język umarły, obok innych swych zalet, był najdogodniejszy stać się językiem katolickiego kościoła. Cała zatem oświata Europejska, nie tylko w duchu pierwiastka nowój religii, ale oraz w duchu obcego języka i w duchu piśmiennictwa umarłego narodu, rozwijała się, co utrudniało postęp, a nareszcie świat byłby skończył w tych wiekach.

Duch zatem narodowy, prąc gwałtem naprzód, musiał sobie otwierać osobne drogi własnego rozwijania się. Pod Karolingami była w Niemczech oświata czysto - łacińska, pod Ottonami bizantyjska, i doszły do tej wysokości i upowszechnienia, że Roswita zakonna, na wzór Terencyusza, komedye łacińskie pisała, a na dworze Ottonów po grecku rozmawiano. Były to wieki złote dla obcej, nie rodzimnej oświaty. Następujące wieki Frankońskie przywalały tę oświatę, wszelkiego rodzaju ciemnotą i rozpasaniem. Ale trzeba było tych ciemności nawałnych, aby złamać i przerwać tak przeciw narodowy w oświacie kierunek, a obudzić i zalegać rodzimą oświatę, co w takiej sile działania występowała w heroicznych

wiekach Germanii. Walki nieustające i pustoszące królów niemieckich wewnątrz, były obrócone przeciw możnowładztwu, zewnątrz przeciw Włochom — z obudwóch źródeł lała się na Niemcy szerokim strumieniem obczyzna. A że cesarze szukali pomocy u miast i niższego rycerstwa, gdzie najwięcej jeszcze było narodowości, były to zatem oraz walki narodowych żywiołów przeciw obczyźnie.

Ale pośrednie złąd wypadki byłyby słabe zawsze, gdyby wielki wypadek historyczny nie przyszedł byt tym usiłowaniom w pomoc, i nie był od razu zniszczył i wyrócił starożytną oświatę z posad nowych ludów, i nowym wiekom, nowego nie był nadał charakteru.

Były to wojny krzyżowe. Płytko sądzą którzy podają, jakoby uciski i prześladowania pielgrzymów i chrześcian w Jerozolimie przez niewiernych, wywołały wojny krzyżowe. Tak wielkich wypadków nie byłyby dźwigiły tak słabe sprężyny. Wyprawy krzyżowe, czyli ruch chrześciańskich ludów Europy na zdobycie ziemi Ś., był przygotowany od wieków, mianowicie zaś od czasów walki pogaństwa z chrześciaństwem. Aż do X wieku, od wschodu sciskała chrześciaństwo potęga pogańskich Słowian, od południa zalewała Europę powódź saraceńska. Pod Poitiers już się ważyły losy między ewangelią a koranem. W Hiszpanii potem, toczyły się nieustanne boje Chrześcian przeciwko Maurom. Od Wschodu, od Karpat, nowy, dziki pokazał się lud Madziarów. Na wiosnę 933 roku w dwóch ogromnych wysypali się massach przez Frankonię do Turynгии, wszystko ogniem i mieczem pustosząc. Niedaleko Merseburga, powiada historyk, rozłożyli się obozem. — Stanął przeciw nim Henryk I na czele swoich Sasów i Turynarów, przez 3 dni przyzwyczajał wojsko małemi utarczkami do widoku barbarzyńców straszliwych. Czwarty dzień przeznaczony był na bitwę. Zagrzał wojsko swoje w imię Zbawiciela, i w imię Chrześciaństwa, w którego sprawie walczą, wystawił im nędze i ucisk braci, częścią w niewoli u Pohan-

ców, częścią pomordowanych, a rozwinąwszy przed pulkami chorągiew państwa z wizerunkiem anioła, uderzył na niewiernych, odniósł zwycięstwo jakiego od czasów Hermana nie było. W Keuszbergu pod Merseburgiem dotąd utrzymuje się na pamiątkę dnia tego uroczystość narodowa, połączona z nabożeństwem. Sława tego zwycięstwa rozniosła się do Włoch i Francyi, dokąd już Madziary zapuszczali zagony swoje. — W 20 lat (955) pokazali się na nowo w straszliwszej potędze. Na otwartych błoniach, po-nad brzegami rzeki Lech i Wertach przyszło do walki bitwy. Przed rozpoczęciem walki, w obliczu całego wojska, Otto I wziął komunię Ś., po czém ukłękły szeregi, i wraz z królem modliły się gorąco do Boga Chrześcijańskiego o zwycięstwo nad niewiernymi. Zagrzani, uderzyli ósmią szyskami na nieprzyjaciela, przetłamali go i rozproszyli — jeżeli wiara kronikarzowi — sto tysięcy Pohanów położywszy trupem.

Te zwycięstwa i te walki w imię Chrystusa i religii, przeciwko jój nieprzyjaciółom i zatracicielom, wyprężyły umysły chrześcijańskich ludów, i zamieniły ich w stan wojującego kościoła, o którym dobrze powiedziano, że wtenczas jest naj-silniejszy. Są to kwitnące czasy kościoła, bo zażegniona jest wyobraźnia ludów, — bo wszystkie ich uczucia w jedno uczucie wiary skupione — bo wyęzione natenczas cięciwy wiary, silne rzucają pociski. Tak też po-onczas, z wieku do wieku, w owych walkach chrześcijaństwa z pogaństwem, coraz bardziej napinała się cięciwa wiary ludów, aż nareszcie dość silną była, by rzucić takie massy ludu do Azji.

Nie tylko zaś trzeba było wyężenia wiary, coby w tak odległe strony łuk zmierzyć i pocisk wypuścić potrafiła. Trzeba było odwagi i wprawnego oka. Nauczyli tego ludy Europejskie Normanowie. Wyprawy ich i zdobycze w X i XI wieku poprzedziły wojny krzyżowe, i pokazały podobieństwo dalekich wypraw i łatwość podbojów. Zdobycze Alfonsa IV na Maurach i Rogera w Sycylii, bezpośrednio przed krucyatami,

zaostrzyły umysły rycerstwa francuskiego. I pod takimi to dopięro okolicznościami, kazania Piotra zakonnika z Amiens, mogły taki wywołać zapal, i tak powszechne sprawić uniesienie. Żarliwy głos jego był iskrą, zapalającą tylko żywioły palne, które tam już wieki nagromadziły.

Rzeczywiście, przez takie nateżenie ducha, wiara katolickiego Chrystusowego kościoła doszła tu, po 12 wiekach istnienia swego, do najwyższego punktu kulminacji. Rozgorzały nią wyobrażenia ludów, i oderwały je całkiem od ziemi. Raz ruszone, szłyby do piekieł nie tylko do Jerozolimy. Wszystkie inne uczucia zwały się w to uczucie wiary, wszystkie interesa w ten interes zbawienia, wszystkie inne żądze zacięły przed tą jedną, palającą żądzą: zdobycia grobu Jezusowego, uwolnienia ziemi Ś. z rąk niewiernych. Czego zaprowadzony *pokój Boży* nie dokazał, (traiga Dei za Konrada II) dokazał zapal do krucyat. Ustały na raz łupieztwa, zajazdy, rozboje po drogach. W rzędzie obrońców wiary, stawali i brali krzyż, obok rycerzy, żarliwi zakonnicy; dłużnicy i uciśnieni, obok wierzycieli swoich, którzy im, jak w czasie jubileuszu, wszystko darowali; słudzy i wazale, obok panów swoich, nareszcie zbrodniarze wszelkiego rodzaju obok prawych synów kościoła. Krzyż wszystkich zapalił i porównał, jedna ogólna myśl brzmiała im w głębi ducha hymnem zbawienia, i przed jej tonami z tamtego świata, głuchły głosy wydobywające się na ziemi. Tak każdy wielki wypadek zwraca na siebie oczy wszystkich, a oczy weń utopione nie patrzą indziej i nie widzą nic w okół siebie. Zatarły się nienawiści plemienne i rodowe. Nieprzyjaciele najzaciętsi stawali w jednych szeregach, i podawali sobie dłonie pojednania. Mąż zapominał że jest mężem i ojcem familii, syn, że ma rodziców w starości. — Rozbójnicy opuszczali kryjówki swoje, pielgrzymi wychodzili z pustyń, kobiety występowały z ukrycia domowego, nieletni stawali się pełnoletniemi. Zgoła, w imie tej jednej, ogólnej, wyteżonej wiary, cuda działy się na ziemi, i cuda działy się

na niebie. Widziano znaki i znamiona Boskie w obłokach, widziano duchy występujące z grobów, i grób Karola W. się otworzył, i cień jego poważny wyzywał ludy do walki. Był to zachwyt, uniesienie, jakiego nie zapamiętali dotąd wieki.

Wszelako, mimo takiego zapалу i dwiesięcioletnich wysień, grób Chrystusa i Ziemia Ś. zostały w ręku niewiernych. Znowu tu powtórzyć trzeba, że Królestwo Niebieskie nie jest z tego świata, i dla tego udaremnione zostały zabiegi Chrześcian zbudowania królestwa Jerozolimskiego. Jerozolima już była wypalonym kraterem dziejowym, i już z niej nowe słupy ognia świata nie zaświecą. Duch dziejów, który wywołał wojny krzyżowe, nie to mógł mieć celem ostatecznym, ale inne olbrzymie skutki z nich wywołał. Z tej samej Ziemi Ś., z której się rozeszła nowa wiara, co nadała nową postać światu, z tej ziemi wróciły do Europy nowe wyobrażenia, i nadsyły nową fizyonomią wiekom.

Roztworzenie się rozleglejszych widoków w dziedzinie wiedzy narodów, nazywamy postępem. Wielkie, niedoścignione dawniej prawdy ducha, przechodzą w pojęcie czasu, i nadają mu osobny zupełnie wyraz. Tak się zaś powszechnie isci, i leży to w naturze rzeczy, że z rozleglejszymi widokami, przestrzennymi na kuli ziemskiej, rozleglejsze roztwierają się widoki ducha. Wyprawy Aleksandra W. do Azji, stoją u kończyn starożytnego świata, bo z niemi nowe powstały wyobrażenia, i zmieniły charakter starożytny. Eurypides, Arystofanes, i Arystoteles, już są mieszkańcami starych i nowych wyobrażeń, i są na przejściu do epoki krytycyzmu, rozwalającego stare wieki dla chrześcijańskiego, budującego się świata, a i ten począł się wędrówkami ludów i rozświeceniem krain w północy i wschodu Europy. Z odkryciem Ameryki kończą się średnie wieki. Idzie z tém odkryciem w parze reformacya, jak gdyby odkrycie nowego duchowego świata. Między obojgiem przypadają wojny krzyżowe, które przeprowadzając przez dwa wieki ludy Europejskie do Azji, pokazały im kraje

i narody nieznane, nowe religie, nowe obyczaje oblały ich blaskiem oświaty byzantyjskiej, i przeniosły na siedliska słynnych niegdyś narodów Fenicyi, Judei, i Syryi. Jako więc podróżnemu, co dotąd schowany między murami, mienił się bardzo uczonym nauką książkową, otwierają się inne całkiem wyobrażenia, gdy spojrzat własnymi oczyma na ten kalejdoskop świata, i upadło, i załamało się w nim szkolnictwo, nad które nie dotąd nie widział, ani nie wiedział, — tak i ludom, robiącym wyprawy krzyżowe, spadła łuszczałka z oka, szkolnictwo duchowne upadło w powadze, a nowe nieznane stworzyły się im pojęcia.

Obca oświata i obcy język, jak gruba skorupa osklepiły narodowego ducha, że się przez nie przedrzeć i uwydatnić nie mógł. Wojny krzyżowe rozsadziły tę skorupę. *Bechada*, rycerz normandzki, w r. 1130 pierwszy napisał poemat w języku ojczystym „*Zdobycie Jerozolimy*” i wyraźnie wypowiada, że chociaż uczeni wzgardzają jego poezją, że w pospolitej ułożona mowie, to jednak przemogła w nim chęć przysłużenia się współziomkom, aby to, co opiewa, i lud mógł zrozumieć. Przez zaprowadzenie języka ojczystego do poezyi, wziął się do niej stan rycerski, i poezycja przeszła z klasztorów do zamków, straciła charakter zakonny, a nabrała świeckiego, zbliżona tym sposobem do narodowego życia i jego rzeczywistych stosunków. — Przez poezję i język, oświata utrzymywana dotąd obcemi żywiołami, przerznęła się do narodowości. Z rozwiniętą narodowością mógł się dopiero uwydatnić charakter wieku, i dać wszystkim plodom umysłowym nową, osobną farbę i fizyonomią, jakiej dotąd czasy chrześcijańskie nie miały.

Po wojnach krzyżowych, jakby po krwawej uprawie ziemi, narodowości ludów chrześcijańskich zakwitują osobnemi barwami i rozścielają szeroko woń średniowieczną. Charakter tych wieków jest romantyczny. — Dla zrozumienia rzeczy, trzeba nam rozróżnić poprzednie charaktery czasów, aby

w tych charakterach ujrzyć postęp rozwijającej się idei, coraz pełniejszej w sobie.

Charakterem odległej starożytności była symboliczność. Ludy nie potrafiły się wznieść do ojczystego pojęcia, nie mogły strawić w duchu tego wszystkiego, czém ich świat zewnętrzny, pełen dla nich uroku i znaczenia, otaczał; przed zbyt wielką ilością faktów, nie miały dość dojrzałego poznania, aby ducha objęły w zupełnej prawdzie, i dla tego *symbolem* wyrażały myśl swoją. Tak dziecię — a dzieciennego wieku była oświata pierwszych ludów — nie umie objąć masy przedmiotów, ani zreflektować się w duchu, i jednym wyrazem równo-podobne pojęcia mianuje, daje znak na nie zewnętrzny, nie myśl — obfite jest w coraz nowe wyobrażenia, ale żadnego nie uchwyci w zupełności, nie ukończy — a pod wpływem wrażeń coraz świeżych i nowych, jedno wyobrażenie drugie wytłacza. Taka jest poezycja indyjska u Mahabara i Ramajana — taka religia Indyan, takimi hieroglifami Egipcyan i ich symboliczne budowy.

Druga połowa starożytności — Grecyja i Rzym — ma za piętno ducha swego plastyczność. Tu formy wszystkie pokazują się, nie w excentrycznych, ale w ukończonych rysach. Świat cały i wieczność zakreśliły się w granicach. Dość im było na wyobrażeniu, że Okeanos oblewał ziemię w okół, a niebiosy, że spoczywały na barkach Atlasu — że jest *fatum* niepożyte i niezmiennie, od którego losy bogów i ludzi naprzód oznaczone; — że jest *Kronos* siwo-włosy, ojciec wszystkiego co żyje i istnieje. To im były wybitne, plastyczne pojęcia, i ani im przez głowę nie przeszło, badać o więcej i biedzić się myślą dalej sięgającą. Podobnie natura tępą była, czém się przedstawiała ich wyobraźni. Wyobrażenia o Heliosie, Dianie, Aurorze, toczących rydwanem po niebie, były im czystym przekonaniem. Inaczej nie pojmowali biegu słońca, księżyca, i jutrzeńki. I mowa i wyraz każdy, nic innego nie przedstawiał, ino co wyrażał; i poezycja ich Homerowa nosi

na sobie ten *plastyczności charakter*. Cały ich świat bogów i ludzi, był wykończony, młodzieńczą upostaciowaną fantazyją. Postacie te były stałe, i nad nie i po-zanie nie sięgała ani ich ciekawość, ani myśl ich badawcza tam zapociekata się kiedy. A gdy przy schyłku czasów, Anaksagoras i Sokrates zajrzeli po-za tę plastyczność w jądro dncha, przytłacili: jeden wygnaniem, drugi trucizną, osądzeni zwodzicielami ludu, pogardzicielami bogów.

Wszystkie formy w téj okoliczności musiały być piękne wyraziste. Wszakże téj plastyce perspektywy ducha brakowało. Brak ten był ujemną stroną starożytnego klassycznego świata, który dla tego ani muzyki ani malarstwa nie wydoskonalił — i prędjéj czy późniéj brak ten zastąpić musiały następne wieki. Piérwsze tego ślady pokazują się w tragediach Eurypidesa — w których przebija się sentymentalność, czego dotąd nie znali Helleni. Arystofanes nie wiedział co czynił, kiedy go dla tego wyśmiewał. Eurypides czuł brak głębi ducha, i chylącą się do upadku poezyją nowym pierwiastkiem ratować pragnął. On stał na téj samej granicy, na której dziś stoi literatura francuska, i dla tego te same podobieństwa i zarzuty czynione jéj przez nowych Arystofanesów, równie tu, jak tam nietrafne.

Rzym wziął powołanie świat cały zmienić w plastyczne ciało społeczne — świat cały zmienić w Romę, aby i tu była jedna polityczna całość, wydatna w samych tylko hautreliefach prawa. Téj materyalnój całości brakto ducha, bo spożyte już były duchowe siły starożytnego świata. Chrześcijaństwo nowe otwiera okolice ducha, rozpiera się szybko między ludy, i stacza walkę ze starożytnym światem. Upada Grecyja ze starości — upada Rzym, niezdolny znieść w starem ciele tyle ducha; — ale pozostałe owoce Grecyi i Rzymu są jeszcze pokarmem nowoczesnego chrześcijaństwa, które dopiero liść rozwija na nowéj latorośli ducha. Ztąd powaga jeszcze starożytnego świata nad światem chrześcijańskim, ztąd długie

wzajemne trawienia się. Aż w XII wieku, i chrześcijaństwo zakwitło i owoc wydało. Były nim wojny krzyżowe, w imię Chrystusa i dla Chrystusa czynione. Karm nowa dla następnych wieków, z kąd nowy typ pokoleń, nowy charakter dziejów i oświaty, którą nazwaliśmy romantycznością.

Nazwisko to zład urosło, że do wojen krzyżowych najwięcej brały udziały *romańskie* czy po-rzymskie narody: Francya, Włochy, Hiszpania. — Sam zaś charakter objawia się w przewadze ducha nad materją, na pierwszym stopniu téj przewagi, to jest w przewadze osobistego, indywidualnego ducha.

Widzieliśmy, że chrześcijaństwo w pierwiastku swoim jest przeważnie duchowe, że ducha odrywa od ziemi i ciała, i kościół swój buduje na sercach wyznawców swoich; że chrześcijaństwo połączyło się silnie ze szczepem Germańskim, w którego charakterze i usposobieniu leżał ten sam duchowy kierunek. Nie było spoju między starożytnym światem, po którym została bogata w dostatki ducha puścizna, i między dziczą nowych ludów, będących samą materją — nie było drogi dla metempsychozy ducha narodów, i musiałoby być wśród tak sprzecznych żywiołów nastąpić zatracenie dawnych jego zasobów — nie byłoby postępu z przeszłości do przyszłości, która się na tamtéj rozwija. Chrześcijaństwo musiało zatem przejąć w sobie dwa przeszłe pierwiastki, symboliczność i plastyczność. Pierwiastki te, zanim stanęły jak należy na podrzędném stanowisku, przemogły zrazu samą duchowość, której dodawały pokarmu. Nowy świat jak nowy młodzian, tak się wdał w nauczyciela swego i przewodnika, że jego językiem mówił, jego myślami myślał, i nie poczuł samodzielności ducha własnego. Taki był stan rzeczy aż do XII wieku. Język łaciński stał się panujący, formy symboliczne chrześcijaństwa przeszły w stereotypowe kształty. i stały się plastyką, po-za którą nie dociec już było ducha. Ludy odczęły na ła-

cinie, i na płodach łacińskiej oświaty. Z tego otężenia wyrwały je wojny krzyżowe.

Ludzie, w których duszy zawrzało takie uniesienie, że rzucali ojczyznę, żony, dzieci, i szli w kraje niesłyszane, okupić w tej oddali kraju, krwią swoją ziemię Ś. i grób Zbawiciela — ludzie tacy musieli po raz pierwszy uczuć w sobie samodzielność ducha, a tę samodzielność pojęli jako ducha swego. Osiągnięcie zbawienia, tego najwyższego duchowego dobra, opanowało znowu ich duszę w całej potędze pierwotnego męczeńskiego Chrześcijaństwa. Był to duch kroczący znów przez Europę, jak niegdyś w katakombach — i jako duch, nie zostawił zmiany po sobie; czego się na ziemi dotknął, zostawił jak było, ziemię Ś. w ręku Saracenów. Ale to kroczenie jego, ten powrót do pierwiastkowego zachwyty wiary — rozwalit plastykę form i wyobrażeń, w które go wieki łacińskie osklepiły. Ludy owe szły na te same miejsca, gdzie Zbawiciel świata się urodził, gdzie chodził i nauczał — szły w całej rzeczywistości zdobyć i oglądać grób jego — i przed tą rzeczywistością rozplynać się musiały symbole w niecości. Otóż krok tylko jeden ztąd do reformacyi, a roztworzone obszerne pole dla indywidualności ducha.

Indywidualność ducha kształci się, im się więcej o indywidualność innych ocięra, i od nich wyróżnioną wie i poznaje. Zbiegowisko tylu rycerzy i mężów, tylu ludów rozmaitych, musiało ten sam przynieść skutek. Do pierwszej wyprawy krzyżowej należeli Francuzi, Flamandczykowie, Fryzy, Wallizowie, Bretonie Allotrogi, Lotaryngowie, Niemcy, Normanie, Szkoci, Anglicy, Akwitanie, Włosi, Iberowie, Duńczycy, Grecy i Armenianie. Wszystkie te ludy, powiązane jedném bratniem mianem Chrześcian, a ztąd jedną siłą moralną. Miłość chrześcijańska, i znaczenie imienia Chrześcianina, po raz pierwszy na takich massach się pojawiły, a w tej jedności, tyle różnic, tyle indywidualności!

Honor i miłość, których nie znały starożytne wieki, bezpośrednio wypłynęły z podniesienia się indywidualności ducha, i dają koloryt żywy rycerskim i romantycznym wiekom. Człowiek poznać musi w sobie szlachetną część istoty swojej, uczuć ją na całej powierzchni żywota i wszystkich stosunków swoich — aby poznać honor. Wtenczas to dopiero, gdy z uczutęj indywidualności mego ducha, roztoczę na zewnątrz promienie, na odwrót po tych promieniach dotykana i dotkliwą będzie moja — a każde dotknięcie obrazi ją w samym jądrze wnętrza mego, ugodzi w samą indywidualność człowieka, stanu, znaczenia, oświeclający żywot i sprawy jego.

Miłość podniosła się z podniesioną czcią kobiet, a tych znaczenie podniosło się z indywidualnością ducha. Kobiety dotąd niskie w społeczeństwie zajmowały stanowisko, bo duchowe ich znaczenie było niskie. W starożytnych wiekach, kobieta była ciałem tylko, i była sama namiętność ciała. — Tak Achilles kochał Bryzejdę i wiódł o nią spór z Agamemnonem, jak o rzecz — można powiedzieć, że kochał się w niej. Odkąd podniosło się duchowe znaczenie niewieście i honor kobiecy, odkąd nawet w jej wdziękach upatrywano przegładającego się ducha, pociąg zmysłowy zamienił się w pociąg dusz dwojga do siebie — i przywiązanie namiętne, na miłość beznamiętą. Honor i miłość są pierwiastki chrześcijańsko-germańskie, samą kontemplacją ducha wyrobione. Miłość, jest, jak miłość Boga i bliźniego, czystą, niebieską bez ciała, bez ziemskości, bez interesu — jest to raj na ziemi, ubłogosławienie, szczęśliwość duchowa za życia. Honor brzydzi się równie materjalizmem wszelkiego rodzaju, czy to będzie zysk, czy cielesność, czy zarabkowanie; sfera jego, jest czysto duchowa, utrzymuje się wiarą i tradycją, grzeszyć może, nie tylko słowem i czynem, ale samą myślą, do samego sumienia wnika. Jak w kościele jednym jest tylko zbawienie i

prawdziwa wiara, tak tylko w stanie uprzywilejowanym jest honor i cześć jego, po-za tym stanem go niema.

Wyższą jest indywidualność narodów, niżeli indywidualność osób. Ona to rozwinęła narodowości, z których, jak z obfitych źródeł, wypłynął potok nowych dziejów i nowej oświaty.

Wojny krzyżowe doprowadziły zatem chrześcijaństwo do samodzielności ducha, i dopiero od wojen krzyżowych rozpoczyna się osobny, istotny charakter jego, na tle germańskiej narodowości rozwijający się. Same Niemcy, massą, dopiero w XII wieku się ruszyły, znalazłszy w Bernardzie, zakonniku z Clairveaux, drugiego Piotra z Amiens.

To opóźnienie skutkiem było niedołężności cesarzy z domu frankońskiego. Wszakże krucjaty, jako spełnienie misyi germańskiej uważać należy. Nie tylko bowiem przygotowane były przez Normanów, ale w owym wieku, cała Europa dziejowa była już germańska, a przynajmniej pierwiastkiem germańskim zafarbowana: Francja przez Franków, Hiszpania przez Wizygotów, Włochy przez Ostrogotów i Longobardów, i połączenie korony królestwa Włoskiego z koroną Niemiec.

Obszerniej rozebraliśmy stanowisko wojen krzyżowych w dziejach, dla tego, że je uważamy jako kulminacją dziejową w świecie Chrześcijańsko - Germańskim, z której dopiero rozwinęły się nauki, sztuki piękne, prawo, feudalizm, rycerstwo, stan miejski, a nakoniec reformacyja — wszystko w kolorycie nowym germańskim. Rozwinięcie tego wszystkiego, przechodziłoby za zakres takiej rozprawy. Są to zresztą już tylko wyroby narodowego ducha, nie już dzieje same, któreśmy mieli głównie na widoku.

NOWY OKRĘT

NA ROK 1844.



STANĄŁ w porcie przeszłości wczoraj okręt stary,
Wszyscy go śpiesznym krokiem odbiegli wesoło:
Bo im nowy u lądu jasne podniósł czoło.
I błysnął w państwie czasów złotemi filary.



Już młoda nadziejami zerwana kotwica —
Powiewa świetny żagiel w niepowrotnym biegu;
Wielu śmiechem podróżynych zajaśniały lica,
Przesiedli w nowy korab' — odbili od brzegu. —



Płyną z szumem po morzu — a radości głosy
Dzwonią pieśnią wesela, każdy z podróżników

Ciesz się w głębi serca szczęśliwszemi losy,
Wynurza innym przyjaźń śród głośnych okrzyków.



Zwrócone wszystkich oko na gwiazdę przyszłości,
Nikt nie spojrzy za siebie, nie uczyni wzmianki.
Nowa u nich nadzieja, nowy cel miłości,
Każdy na młody statek, mnogie rzuca wianki.



Kto w starym był okręcie w nieszczęścia zakuty,
Płyń z tém przedsięwzięciem że je tu rozłamie;
Inny za ciężkie winy bieży do pokuty,
I na czoło skalane — kładzie cnoty znamie.



Ów miotany wichrami we mglistej powodzi,
Dziś uchwycił za wiosło i żagiel rozwinął;
Patrz! jak zręcznie kieruje czołem swojej łodzi,
Uśmiecha się przyszłości, — pierwszą skałę minął.



Płyńcie z Bogiem szczęśliwie moi przyjaciele!
Niech przeciwność przed nowym okrętem ucieka,
I los zawsze przyjazny kwiatem drogi ściele,
Ja tylko na was będę poglądał zdaleka.

J. W. S.



O NIEDORZECZNOŚCI MNIEMAŃ

WE WZGLĘDZIE WYNIKAJĄCEJ SZKODY

Z UPRAWY PŁODÓW POKARMOWYCH NA WYWÓZ ZA GRANICĘ.

A osiągnięcia pożytku z ochraniającego, własny przemysł, systematu.

(DALSZY CIĄG).



Co do drugiego teraz względu, to jest, nagromadzenia i zatrzymania w kraju pieniędzy, nie tylko ustalona teoria Ekonomii politycznej, ale i codzienne doświadczenie najmocniej każdego przekonaćby powinno, że kiedy pieniądze do niczego więcej nie są potrzebne, jak tylko, aby służyły za środek ułatwiający wszelką zamianę, tedy ich przez zamianę swoich płodów, lub usług osobistych, do kraju ściąganie, lub na nabywanie obcych płodów i usług, z kraju wydawanie niema i mieć nie może innego celu, jak za ich pośrednictwem nabycie takich pożytków, lub przyjemności życia, jakichbyśmy bez nich nabyć nie mogli. I dla tego każdy wydający pieniądze, wyjąwszy małą liczbę nierozsądnych, rozrzutnych i marnotrawnych, zamierza większej dostąpić korzyści i przyjemności, aniżeli jest samo posiadanie pieniędzy. Jeżeli więc kupiec, w zamian pozbytych płodów, mniej często przywozi gotowe

pieniądze, a najwięcej nowe sprowadza towary albo nagromadzone pieniądze wydaje na nabycie towarów, będących przedmiotem jego handlu i mających się do kraju sprowadzić, to musi w tém działaniu prawdziwą upatrywać korzyść, dla osiągnięcia której, swoje osobistą poświęca usługę. W dostateczném wyrozumieniu téj zasady, odkrywa się częste i bezpożyteczne z jednej strony usiłowanie nagromadzenia gotowizny w takiej ilości, która potrzebę korzystnej dla kraju zamiany przewyższa, a z drugiej strony tłumaczy się niedorzeczność, tak obawy wydawania ich z kraju, jak żądzy pozyskania dla siebie pożytecznej wagi, czyli bilansu handlowego, w takim sposobie jego pojmowania: że ten naród stracił, który przy końcu roku więcej wydał na kupno, a ten zyskał, który za sprzedaż rozmaitych towarów, więcej pieniędzy do kraju sprowadził. Gdyby te wypadki miały być prawdziwemi, to biegli mistrzowie w ich poznaniu, Anglicy, nie wydawaliby na nabycie wszelkich we Francyi płodów, jak świadczy w swém dziele i rachunkiem przekonywa sławny J. Ch: Say, więcej gotowych pieniędzy, aniżeli ich w zamian za swe płody od Francyi biorą. A obok tego, dowiedziona jest rzeczą, że posiadanie srebra i złota w ilości za zbytnej, w porównaniu do innych pożytecznych płodów, nie stanowi prawdziwego bogactwa narodu. Jakoż żaden kraj w Europie, nie miał większej obfitości tych drogich kruszców po odkryciu Ameryki, jak Hiszpanija, a razem żaden nie był nad nią uboższym; czyli, co jedno jest, że inne kraje, wyprowadzające tyle pożytecznych płodów, iż po oddzieleniu na własne spożycie, miały zbywającą ich przewyżkę do opatrywania Hiszpanii, i dostania od niej w zamian potrzebną sobie ilość drogich metalów, były od niej bogatsze. Wreszcie, kraje bardzo piędne, jak dawniej Hollandya, Anglia i dzisiaj Francya, nie przez to są bogatemi, że wiele pieniędzy mają, które są skutkiem, a nie przyczyną bogactw, ale przez to, że wiele mają takich płodów i towarów, któremi pożyteczną zamianę prowadzą. —

A stąd, im bardziej się powiększa ilość pieniędzy, tém bardziej wartość ich, stosunkowo do wartości wszystkich innych rzeczy i usług osobistych, się zmniejsza. Dla czego w Anglii, takiemu podziennie pracującemu robotnikowi, jakiemu się u nas płaci złoty, albo groszy czterdzieści, potrzeba zapłacić złotych 10, albo 12? A kto nie ma tam około miliona złotych rocznego dochodu, ten do rzędu bogatych liczyć się nie może.

Dostatecznie się tedy, jak miemam, okazało, że używanie wymienionych sposobów, źle doprowadza do osiągnięcia zamierzonych skutków pod obudwoma powyższemi względami, które same nie odpowiadają wielkiemu i ostatecznemu powszechnój ludzkiej spółeczności celowi. Celem takim, jak wiadomo, nie tylko jest zaspokajanie wszelkich potrzeb ludzkich, ale nadto, dla uczynienia bytu człowieka coraz pomyślniejszym i szczęśliwszym, takim sposobem ich zaspokajanie, jaki najmniej nakładu sił płodnych, to jest, gruntu, pracy i kapitału wymaga. A to się tylko da uskutecznić wtedy, kiedy, tak każdy człowiek, jak każdy naród, takim się zatrudnieniem pod jakimkolwiek względem przemysłu zajmować będzie, w jakim ma najwięcej znajomości i wprawy, i jakiemu najwięcej różne zewnętrzne i miejscowe okoliczności sprzyjają; jakie przeto mniejszego nakładu sił płodnych potrzebować, a tém samém, większą mu korzyść przynosić będzie. — Stąd więc wypada, że każdy naród nie o to starać się powinien, aby jak najwięcej wszelkich płodów wyprowadzić, zrobić i przyrzadzić do własnego użycia, a przez to jak najmniej obcych potrzebować; ale raczej o to, aby jak największą przewyżkę utworzyć takich płodów, których drudzy, albo zgoła nie mają, albo w małych ilościach, i złych gatunkach, a które on u siebie, jak najlepiej i najtaniej przygotowywawszy, może mieć chętnych, przy wolności zamiany, na nie nabywców; od których znowu na odwrót, to dla siebie w potrzebnej ilości weźmie, co u nich podobnie jest najlepszym i najtańszym

w przewyżce. Taka jest bowiem, z czyniącej się zamiany, prosta wynikłość: że kto najwięcej nam przeda, ten nawzajem, najwięcej od nas kupić może. Chcieć zaś, abyśmy drugim jak najwięcej sprzedawali, a od nich mało, albo nie kupowali, jest to chcieć rzeczy, nie tylko powiem niesłusznój, ale nawet naturalnie niepodobnój. Każdy naród, pozbywając się wszelkich swych płodów przewyżki do zamiany przygotowanój, nabywa za nią funduszu, którego jedynie użyć może na kupienie od drugich, sobie nawzajem wszelkich potrzebnych rzeczy. Nie trzeba się więc dziwić i narzekać, że Anglicy i inni, wyjąwszy u nich przypadki nieurodzaju, lub złego zbioru, nie chcą u nas kupować zboża i innych płodów, kiedy my nawzajem od nich, jednych rzeczy mało i z wielkimi trudnościami, a drugich, dla sprzyjania własnemu przemysłowi, zgola nie nabywamy.

Przy zupełnój wolności handlu, jakiej dziś tamowanie różne gałęzi ludzkiego przemysłu, z naturalnego spychatoru, i błędny a zamiarowi przeciwny daje im kierunek; nie widzianoby tego, co się teraz postrzegać daje. Nie uprawialiby Anglicy pod zasiów zboża z nadzwyczajném wysileniem i kosztem, wielkiej części swojej lichój i naturalnie mało płodnój ziemi; nie zaprowadzanoby za to w innych krajach niektórych gatunków rękodzielного przemysłu, jakie tylko pod zastoną i opieką wszelkich prohibicyjnych urządzeń, zaledwo utrzymać się mogą; ale natomiast, każdy z wielką ochotą poświęcałby się rozszerzeniu i udoskonaleniu u siebie téj gałęzi pracy, jaka mu przy sprzyjających, i jemu tylko właściwych okolicznościach, najwięcej korzyści przynieść może.

Zupełna wolność handlu, przeciw której dziś mówią, piszą i działają, a w której prędzej, czy później nastanie, mocno wierzę wraz ze sławnym Sayem, który w ostatnich swych pismach powiada, iż pół wieku nie upłynie, jak powszechnój handlu wolności nastąpi panowanie, i następcy nasi dziwić się będą, jak ich poprzednicy, co do téj ważnej

ludzkiego społeczeństwa sprawy, mogli być tak bez konsekwencyi myślącymi; zupełna mówię wolność handlu, wcale nie przeszkadza utrzymaniu się w dobrym bycie już znajdujących się, lub na nowo zakwitnąć mogących, niektórych gałęzi rękodzielnego przemysłu. byle tylko były po temu zewnętrzne pomoce i sprzyjające od samej natury zależne, miejscowe okoliczności. I tak np. w państwie Rossyjskiém, nie boi się zgoła żadnego obcego współzawodnictwa: wyrabianie płócien żaglowych, lin i sznurów okrętowych, wszelkich tkanin z włókna konopnego, mydła, świec, skór, wyplatanie rogózek i t. d. i t. d. Bo jak tylko wygotowywanie jakich płodów, potrzebuje za zewnętrzne towarzyszące działacze, albo wiele upału, a są w kraju znaczne lasy, lub kopalnie węgla ziemnych; wiele zwierzęcej tłustości, a jest podostatkiem bydła, albo téż wiele innych surowych, lub mniej więcej obrobionych materyałów, a tych otrzymanie, łatwiej i taniej, jak w innych krajach przychodzi, albo nakoniec potrzebuje wiele ręcznej pracy, a rzeczy do życia służące są takie, a zatém i praca robotników nie droga — to niewątpliwie kraj taki, w wygotowywaniu wspomnionych płodów, otrzyma przed innemi pierwszeństwo, i przy zupełnej nawet wolności handlu, niczyjego współzawodnictwa lękać się nie będzie. — A za nastąpieniem rzeczonej wolności, ustać będą musiały te tylko gałęzi ogólnego ludzkiego przemysłu, które w jakim kraju, nie tak wolno i swobodnie się utrzymują, jak miejscowe rośliny pod otwartém niebem, ale się pielęgnują pod zastoną ochraniającego systematu, jak exotyczne planty po szklarniach i cieplarniach.

Jeśli kraj jaki z rozporządzenia samej natury nie ma pewnych jakich płodów, a zużycia ich pragnie, musi od takich nabywać krajów, które ich podostatkiem mają; i przeciw takiemu nabywaniu nie mówią stronnicy wyłącznego i niezawisłego przemysłu, lecz kiedy rzecz idzie o takie płody, które kraj bezwzględnie uważając, wyprowadzać może, za-

chodzi ważne pytanie: czy one wszystkie u siebie zarówno wyprowadzać powinien? — W odpowiedzi na to tworzą się dwie strony, jednych nalegających i zachęcających, aby wszystko, co tylko można, u siebie wygotowywać; drugich radzących w tém czynić rozpoznanie, czy wydawane w kraju jakie płody, obok takichże obcych, nie znajdą się być gorszymi i droższymi; a jeśli taki zajdzie przypadek, aby zaniechać u siebie ich wydawania, a przez zamianę u drugich nabywać? — Przychylając się zupełnie do tego zdania, aby tém większe o jego prawdzie sprawić przekonanie, przytaczam przykłady, jakże w twierdzeniach swoich w tymże względzie, znakomity pisarz angielski P. Mill podaje. Głęboki ten prawd ekonomicznych badacz, usiłując hamować swych ziomków w zapale, z jakim się brać poczęli do uprawiania coraz gorszych gatunków ziemi pod zasiew zboża, aby go tyle mieć mogli, iżby się bez nabywania w krajach obcych, obyli nadewszystko polegając na téj uwadze: dla czego to u drugich kupować, co u siebie wyprowadzić można, ze względu na stosunki zamiany między swoim krajem, a zjednoczonymi stanami północnej Ameryki, następujące wprowadza rezonowanie: Jeżeli dwa jakie kraje mogą wyprowadzać dwa przedmioty, np. zboże i sukno, ale z różną względną łatwością, wtedy każdy z nich znajdzie korzyść, kiedy się ograniczy wydawaniem jednego z tych przedmiotów, i one wzajemnie na siebie zamieniać będzie. Bo jeżeli jeden z tych krajów może wyprowadzać, którykolwiek z rzeczonych przedmiotów, ze szczególną i sobie właściwą większą względną łatwością, a kraj drugi, może toż samo uczynić z przedmiotem drugim, to natenczas prędko się wzmoże pobudka, dostatecznie nakłaniająca każdy z obu tych krajów, do ograniczenia się wydawaniem tylko jednego z dwóch wymienionych przedmiotów; zwłaszcza, kiedy przy wolnym handlu, nie zbywa na łatwój możliwości dostania przez zamianę tego przedmiotu, którego u siebie wyprowadzać nie będzie. A ta skłaniająca pobudka do ograniczenia się produkcją je-

dnego przedmiotu, może być i w ten czas dostateczną, kiedy jeden z tych dwóch krajów ma większą względną łatwość, aniżeli drugi, do wydawania nawet obu razem przedmiotów. Aby lepiej rzecz pojąć, statecznie wiedzieć potrzeba, w jakim znaczeniu bierzemy tu, *większą względną produkcyjną łatwość*. — Przez tę łatwość, nieco innego rozumić mamy, tylko większą możność, czyli sposobność otrzymania tego samego skutku, za pośrednictwem mniejszej ilości sił płodnych czyli wydawalnych, które tu jednym, ogarniającym je mianujemy wyrazem *praca*.

Załóżmy, mówi P. Mill, że stany zjednoczone Amerykańskie wyprowadzają zboże i sukno z mniejszą ilością sił płodnych, czyli pracy, aniżeli Anglia, stąd jednak nie wynika, jak się niżej okaże, aby nie było interessem stanów Amerykańskich, nabywać z Anglii jednego z rzeczonych dwóch artykułów, mianowicie sukna. Jeżeli ta sama zachodzi proporcya ilości pracy we względzie obu przedmiotów, to jest, jeżeli taż sama ilość zboża i sukna, którą stany Amerykańskie mogą wyprowadzać za pośrednictwem stu dni pracy, na każdy z osobna przedmiot potrzebuje w Anglii do swego utworzenia 150 dni pracy, wtenczas stany Amerykańskie nie mają żadnej pobudki sprowadzania jednego z tych przedmiotów z Anglii. Lecz jeżeli pewna ilość sukna, wymagająca do swego utworzenia 100 dni pracy w stanach Amerykańskich, wymaga w Anglii 150 dni pracy, a za to ilość zboża wyprowadzająca się w stanach Amerykańskich za pośrednictwem także 100 dni pracy, wymaga dni 200 w Anglii, natenczas widocznym jest interessem stanów Amerykańskich, sprowadzać dla siebie sukno z Anglii. Prawdziwość tych twierdzeń może być dobitniej okazaną, przytaczającemi się jeszcze poniżej w założonych względach dowodzeniami. I tak, jeśliby z dwóch rzeczonych przedmiotów, to jest, sukno i zboże, wyprowadzanych w Stanach Amerykańskich za pośrednictwem 100 dni pracy, wymagał każdy 150 dni pracy w Anglii, wten-

czas wyniknęłoby stąd, że ilość sukna, kosztująca 150 dni pracy w Anglii, miałaby też samą wartość w stanach Amerykańskich, co sukna ilość wyprowadzona tamże kosztem 100 dni pracy. A przeto, jeśliby tę ilość sukna angielskiego, chciano zamienić na zboże amerykańskie, toby za nią nie można było nabyć większej ilości zboża, jak tylko taką, jaka 100 dni pracy do swego wydania potrzebowała. A że podług powyższego założenia, 100 dni pracy w Stanach Amerykańskich wydają też samą ilość zboża, co 150 dni w Anglii, to za ilość sukna angielskiego, kosztującą 150 dni pracy, otrzyma się w zamian, taka tylko amerykańskiego zboża ilość, jakiej wydanie tego płodu w Anglii, 150 dni pracy potrzebuje. W takim więc razie Anglia, obok kosztów jeszcze przewozu, nie będzie widzieć żadnej korzyści wysyłania swego sukna do stanów Amerykańskich, i rzeczywiście go tam nie wysle.

Ale kiedy ilość sukna, kosztująca w stanach Amerykańskich 100 dni pracy, wymaga 150 dni w Anglii, a ilość amerykańskiego zboża, za pośrednictwem 100 dni pracy otrzymaną, najmniżej dni 200 wymagałaby w Anglii, to zaraz wtedy wynika stąd dla Anglii do zamiany pobudka. Jakoż Anglia na ten czas, za ilość sukna kosztującą u siebie 150 dni pracy, może nabyć w stanach Amerykańskich ilość zboża, chociaż tam kosztującą tylko 100 dni pracy, ale równającą się takiej ilości, jakiej otrzymanie w Anglii 200 dni pracy wymaga. Tym więc sposobem Anglia za swe sukno, czyli mniejszą ilość pracy, tyle z Ameryki nabywa zboża, ileby go za też samą ilość pracy, co jój sukno kosztuje, nigdy we własnym kraju otrzymać nie mogła, czyli słowem, zyskuje Anglia na zbożu amerykańskim 50 dni pracy, to jest część trzecią wartości.

Stany Amerykańskie znowu z swojej strony, podobną korzyść odniosą. Ilość albowiem zboża, kosztująca w tym kraju 100 dni pracy, i równa będąc, jak się rzekło, takiej ilości tego płodu, jaka w Anglii dni 200 kosztuje, może być zamie-

niona na inny płód angielski, np. sukno. A że w Anglii, sukno jest przedmiotem 150 dni pracy kosztującym, i równym takiej ilości zboża, jakiej wydanie w Stanach Amerykańskich 100 dni, a w Anglii 200 dni pracy wymaga, — przeto, gdy Stany Amerykańskie za pośrednictwem swego zboża, 100 dni pracy kosztującego, nabywają przez zamianę w Anglii taką sukna ilość, jaka się równa wartości, nie już 150, ale 200 dni pracy; natenczas odnoszą rzeczono Stany, zysk wartości produktu 50 dni pracy, czyli zysk trzeciej części wartości.

Z tych przeto wywodzeń najwyraźniej się okazuje, że, aby uznać prawdziwą korzyść, jaką mieć mogą narody, albo z wydawania u siebie pewnych jakich płodów, albo ich z zagranicy sprowadzania, potrzeba wziąć pod ścisłą rozwagę, mniejszą, albo większą łatwość nie *bezwzględna*, z jaką u siebie te płody otrzymać można, ale raczej łatwość *względna*, z porównania produkcyi własnej z obcą wynikającą.

I dla tego, kiedy kraj jaki jest w takim stanie, że albo może u siebie wydawać płód pewny, albo zokładając go sprowadzać, to powinien wtedy ściśle porównać koszty między sobą, to jest, z jednej strony koszty wydawania tego płodu u siebie, z drugiej, koszty sprowadzenia go z zagranicy. — W uważném zaś porównywaniu kosztów, pilnie baczycie należy, nie tak na to, co kosztuje płód obcy w kraju, z którego się ma sprowadzić, jak nadewszystko na to, co kosztuje płód własny, mający się za tamten dać w zamian; a płód własny, porównany z wielością tych kosztów, któreby potrzeba było ponosić na wydanie u siebie takiego płodu, jaki się ma sprowadzać z zagranicy. Owoż, jeżeli kwarter (80 garancy) zboża w Anglii, jest wyprowadzany za pośrednictwem wartości 50 dni pracy, to zarówno być może dla tego kraju interessem, sprowadzać zboże ze Stanów Amerykańskich, czy kwarter tam zboża 50, 60, 40, czy inną liczbę dni pracy kosztującą. A cała rzecz dla Anglii zależy na tém, aby ilość sukna, za którą może sprowadzić kwarter amerykańskiego zboża, mniej

u niej kosztowała, niż 50 dni pracy. Podług więc tych względów wypada, że jeżeli Stany Amerykańskie wydają zboże i sukno w proporcyi 8 łokci angielskich (24 stopy) na jeden kwarter, a Anglia w proporcyi 10 takichże łokci (80 stóp) na 1 kwarter, — to zamiana tych płodów między obudwoma rzezonemi krajami, niewątpliwie z korzyścią może mieć miejsce.

Ogólną nakoniec uwagą wykład téj rzeczy zamykając, mówimy: że jeżeli za pośrednictwem téj samej ilości pracy (czyli co jedno jest, jój wartości), jeden z dwóch jakichkolwiek przedmiotów, jest wyprowadzany w większej proporcyi względem drugiego przedmiotu, w jednym, aniżeli w drugim kraju, to prawdziwym jest obu tych krajów interessem, wzajemną takimi płodami prowadzić między sobą zamianę. — Znajdujące się przeto w takich okolicznościach kraje, jeśli zaniedbują tego czynić, drogo zazwyczaj opłacają chęć wyprowadzania u siebie takich płodów, jakie z zagranicy przez zamianę, daleko tańsze i lepsze mieć mogą.

Niektórzy piszący w tych ważnych materyach tracą wszakże nadzieję, aby prawodawstwo Angielskie dało się kiedy nakłonić do zniesienia postanowień, broniących wolnego sprowadzania z zagranicy zboża, i powiadają: że pobierany do skarbu podatek ziemski, który jest wielki, staje najbardziej temu na przeszkodzie. Tymczasem, co do tego podatku, rzecz się ma inaczej: podatek albowiem ten, w porównaniu z innemi, to jest, z innych źródeł czerpaniemi, jest, można powiedzieć, nie wiele znaczący, bo rozkłada się podług ziemskiego dochodu, ocenionego jeszcze 1693 r. — Nie dla zachowania więc tego podatku, trwają zakazy wprowadzenia obcego zboża. Inna jest zupełnie przyczyna tego skutku, tyle zgubnego dla spożywaczyw angielskich, — szczególnie klas uboższych. Oto prawdziwą tego przyczyną jest żądza utrzymania wielkich dochodów, jakie dzierżawcy właścicielom ziemi, za prawo jój używania (*fermage*) płacą. Te ogromne

szlachcie angielskiej płacące się dochody, i pomimo bardzo ważnych w rolnictwie tego kraju zaszczytów ulepszeń, znaczne koszty na uprawę ziemi, pomnażane jeszcze przez różne podatki, to sprawiają, że plody rolnicze muszą być tam daleko droższe, aniżeli w innych krajach, gdzie ludność przemysłu rękodzielniczego i handlowa nie jest tak wielka. Od niezmienną zaś, albo mało co zmieniającą się wysokości ceny tych płodów, zależy trwała prawie wielkość ziemskich dochodów, i dla tego ich właściciele, wywierający wielki wpływ na prawodawstwo, usiłują wszelkimi sposobami niweczyć i bezskutecznymi czynić żądania narodu, i przełożenia nawet ministrów, we względzie zezwolenia na przywóz zagranicznego zboża, z zachowaniem przylotu nie małej od niego cła opłaty. Wiedzą albowiem, że przy nastąpieniu pozwoleniu sprowadzania obcego zboża, cena targowa krajowego znacznieby spadła; a w ten czas dzierżawcy i rolnicy nie mogliby za taką cenę swych płodów, płacić właścicielom umówionego podatku kontraktów wysokiego dochodu. A stąd następnie majątki ziemskie, przy niżeniu dochodów, doznałyby zmniejszenia swej wartości. Tego lękając się przemożni właściciele, wołają raczej zgłodziatym z klasz biedniejszych dawać wsparcia z podatków, tym końcem dla ubogich uchwalanych, tudzież wysyłać ich nieustannie na osiedlenie do najodleglejszych osad, albo — jak powiedział dawniej z tego powodu P. Chateaubriand w Izbie Parów Francuzkich — ze zbrojną ręką kazać milczeć 5 milionom uciskanych swoich współobywateli, i trwać nieporuszenie w optakanej konieczności, karania śmiercią niektórych buntujących się z przyczyny nadzwyczajnej drogości chleba i niedostatku roboty, aniżeli się skłonić do ograniczenia wielkich korzyści właścicielstwa ziemskiego. Mając niektórzy ten właśnie wzgląd na uwagę, twierdzą: że Anglia nie będzie otwierała swych portów dla zagranicznego zboża, chyba tylko w przypadkach ostatniej konieczności, a w podobnym razie, dozwolony przywóz będzie mało znaczący w porówna-

niu do wielości zboża, jaką inne narody mieć mogą do zbycia. Stąd to i obawa, stąd i największy powód do polecenia, aby jak najmniejszą tworzyć do zagranicznego wywozu przewyżkę płodów pokarmowych, a najwięcej starać się ich u siebie spożywać, przez wyłączne sprzyjanie własnemu przemysłowi.

Pilnie jednak śledząc i zważając dążenia samej Anglii, obawa niemożności pozbywania tam naszych rolniczych płodów, nie tak się wielką okaże, jak na pierwszy rzut myśli się wydaje. Głos sprawiedliwości i potrzeby, ciągle i z większem coraz natężeniem w Anglii podnoszony, musi nakoniec przedź, czy później przemódz upór jęj ziemskich właścicieli, z ludzącym pozorem sprzyjania dobru publicznemu, na egoistyczném tylko osobistych dostatków zamiętowaniu rzeczywiście ugruntowany. I na przeszlorocznych i terażniejszych tego narodu prawodawczych obradach, toczona przeciwnych stron walka, jakkolwiek do osiągnięcia pożądanego celu wolności handlu zbożowego ostatecznie nie przywiodła, znaczne jednak już naprzód postępy w tęj rzeczy uczyniono. A mnożąca się potężnie liczba związków, sprzyjających rzeczonęj wolności, przy nieustającém o jęj otrzymanie usiłowaniu, zapewne to sprawi, iż jak niektórzy mniemają, kilka lat nie upłynie, a zupełną wspomnionego handlu wolnością Anglia cieszyć się będzie. — Początki ważnych odmian zawsze są trudne, wyjednania następne z czasem łatwiej idą. I tóu więcóć niepięnną nadzieję odmiany w tęj rzeczy mieć można, że samo, jak powiedziałem dążenie Anglii, zdaje się do tego zmierzać celu. Uważmy tylko—któż inny bierze na siebie apostołskie postannictwo ogłaszania na powierzchni ziemskięj ogólnęj wolności handlu, jeśli nie Anglia? Któż bardziej nad nią stara się upowszechnić przekonanie o potrzebie i pożytku, tęj ważnęj dla spółeczeństwa ludzkiego sprawy? Któż więcóć, jeśli nie ona, praktyczném postępowaniem usiłuje nakłonić wszystkie narody—jeśli nie do zupełnęj wolności handlu, co

dotąd jeszcze jest trudn^{ym}, to przynajmniej do ścisłej w nim wzajemności? Jak świeży mamy tego przykład na zawartym niedawno traktacie handlowym, między nią a państwem Rosyjski^{ym}.

A gdzie od niej ta wolność zależy, tam nie ociąga się dać zachęcającego z siebie przykładu. Jakoż na poprzedzających obradach parlamentu, Vice-prezes Izby handlowej przygotował projekt do zamienienia go w prawo, któreby дозволяло bez żadnego wyjątku, wprowadzania wszelkich obcych płodów, do wszystkich angielskich posiadłości w Ameryce. — I rzeczywiście, takie Anglii dążenie zaczyna się od czasu zasiadania w jej rządzie znakomitego i prawdziwie genialnego ministra handlu Huskisson. Ten nieodżałowanej straty mąż ośmielił się pierwszy w izbach obrad narodowych, podnosić głos za wprowadzeniem zupełnej wolności handlu. Silne były powstały przeciwne pociski, ale ten niezachwiany, i na nieodmiennych Ekonomii politycznej prawdach opierający się minister, wszystkie przełamał, i większą część słuchaczy do przekonania się o prawdzie, ogłaszanych przez siebie zasad nakłonił. Niektórzy z jego przeciwników mniemali, że zdołają zniweczyć moc dowodów tego ogłosiciela handlowej wolności, kiedy takiego użyją argumentu: „jak można, mówili oni, doradzać zupełnej wolności handlu, kiedy Anglia od tak dawnego czasu, odmienną wcale postępując drogą, doszła do tego stopnia potęgi, bogactw, znaczenia i świetności, na jakim ją dzisiaj widzimy; dla czegoż więc żądać odmiany, kiedy nie jesteśmy pewni, czy ta lepszą dla niej będzie?“ Odpierając taki zarzut, minister powiedział między innemi: „wiadomo, ile Anglia przez wieki prowadziła wojen, ile staczała na lądzie i morzu bitew, ilu ofiar krew przełata, ile wydała milionów, przez jakie rodzaje tamowań i ścieśnień, w różnych systematach, jako to: zakazowym, kolonialnym, przeciągnięcia bilansu handlowego na swą stronę, wszelkich monopolów, wyłącznych towarzystw, uprzywilejowanych kompanij, różnych podbojów,

wyłącznej przewagi w handlu, panowania na morzu, zawierania, jak mniemano, korzystnych traktatów handlowych, ustanawiania, i ciągłego zmieniania taryf celnych, dawania nagród, zwracania piérwój użytych opłat i t. d., przez jakie mówię rodzaje tamowań i ścieśnień piérwój przejść musiały, nim na takim, jak dziś, stopniu stanęły; ale nie ma takiego rachmistrza, o jakiego ja tu przeciwników moich proszę, któryby obliczył, o ileby Anglia potrzebowała była mniej czasu, poniesienia mniej ofiar, i używania wszelkich, przeciwnych przyrodzonemu rzeczy porządkowi, sztucznych środków, a na odwrót, ileby w pędzszym czasie, nieskończenie większych i prawdziwie rzetelnych dostąpiła była pożytków i korzyści, jeźliby była zupełną wolność handlu od-dawna zachowała."

Nie mieli co na to powiedzieć przeciwnicy, a tymczasem przenikliwego umysłu męzowie wsparli żądanie ministra, który dla przekonania o rzeczywistości swych zasad w praktycznym wykonaniu, domagał się zniżenia cła wchodowego od trzech wybranych, przywożonych z zagranicy artykułów, w potrzebowaniu krajowym bardzo ważnych. Jakoż nastąpiło zniżenie rzeczzonego cła z 75, co się prawie równało zakazowi wprowadzenia, na 6 od sta, i pokazało się, że po jednym kwartale, tak zniżone cło, więcej skarbowi dochodu przyniosło, jak przedtém cło dawniejsze w całym roku. — I takie doświadczenie wskazało niewątpliwie dla Anglii sposób, przez znaczne zmniejszenie celi od wprowadzenia i wyprowadzenia towarów, znacznego i prędkiego pomnożenia dochodów publicznych, w ważnej wydarzonej potrzebie. Odtąd zaczęto gorliwie sprawę wolności handlu popierać, i wszyscy lepiej rzecz pojmujący, stanęli na tém przekonaniu, że dla zapewnienia przyszłej pomyślności Anglii, nie ma skuteczniejszego nad wolny handel sposobu. Jakoż przy wolnym jedynie handlu, będzie mogła Anglia rozszerzyć odbyt na wszelkiego rodzaju płody, które są przedmiotem wszystkich gałęzi, wysoko podniesionego jój przemysłu. Przy wolnym han-

dlu, skłonić może inne narody, widokiem niezaprzeczonych korzyści, wynikających z nabywania u niej tańszych i lepszych rozmaitych płodów, do zaniechania ich produkcji u siebie, jako nie mogących być wydawanemi, tylko pod ochroną zakazowego systematu, a którego usunięcie, zagorzali zwolennicy swojego, choćby niekorzystnego w niektórych gałęziach rękodzielnego przemysłu, za całkowitą zagładę owego przemysłu poczytują; nie zważając tego wcale, iż Anglia przy większej łatwości zbywania swoich przerobionych płodów, będzie mogła zaniechać uprawy wielkiej części swój lichój ziemi, pod zasiew zboża dotąd używanój, a zacznie nabywać tak zboża jak i innych, różnych surowych materyalów od tych krajów, które jęj bez porównania taniej dostarczać będą. — A w ten czas te ogromne u niej kapitały, które są dziś na tak kosztowną rolniczych płodów uprawę użyte, będą mogły być obrócone na rozległe przedsięwzięcia rękodzielne i handlowe, jak to już po największej części miało miejsce przez ciąg rewolucji Francuzkięj; a korzyściami zład otrzymywanemi, przy znaczném niżeniu ceny płodów do życia służących, zdotają właściciele ziemscy sobie nagrodzić zmniejszenie gruntowych dochodów, których dzisiejsza wysokość jest sztucznym sposobem i z krzywdą wszystkich konsumentów utworzona. Tak pojmujący się w przyszłości tęg zmiany wypadek, czyni pocieczającą nadzieję, iż zupełna wolność handlu, prędzėj czy późnėj dla szczęścia ludzi zakwitnie.

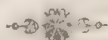
Przed zakończeniem badań, które dotąd zajmowały, nastęrcza się jeszcze jedna okoliczność, któręj bez zastanowienia się pominąć nie można. Jest to upowszechniająca się dzisiaj u nas moda, zakładania fabryk cukru z buraków. Sama chęć naśladowania rzeczy, wziętęj w sobie za dobrą, jest do pochwalenia, ale idzie o to, czy zamierzony skutek odpowie swojemu celowi. Podług tego, co się wyżej powiedziało, cel ten inny być nie może, jak tylko opatrzenie nas taką ilością tego cukru, któraby była wystarczającą do zadosyć uczy-

nienia użycia jego potrzebie, jaka się coraz bardziej wzma-
 gać zaczyna. Miarą sążenia o dostatecznej ilości tego plo-
 du, i odpowiedniej potrzebie powiększającego się jego użycia,
 nie jest stateczne utrzymywanie się wysokości jego ceny, albo
 jej powiększanie się, lecz owszem następne zniżanie się. —
 Dopóki się tedy cena tego krajowego produktu nie zniża, nie
 ma pożądanego z jego wydawania dla konsumentów skutku.
 A zawodzącego się przez to oczekiwania, muszą być pewne
 przyczyny. Jakoż jest ich dotąd trzy: *naprzód*, zakaz wpro-
 wadzenia z zagranicy rafinowanego cukru; *potwóre*, wysokie
 zwłaszcza pierwiastkowe koszty na zakłady fabryczne, obok
 mało upowszechnionej uprawy buraków; *potrzebie*, potrzeba
 użycia większa, od dostarczanej ilości. Przyczyna pierwsza,
 jako sztuczna i przemijająca, może być z czasem usunięta;
 ale pozostaną dwie drugie, które równoważąc się z sobą,
 okażą wtedy, czy oczekiwanie konsumentów krajowych zisz-
 czonem, czy na zawsze zawiedzionem zostanie. Dla tego te-
 raz nie z ostateczną pewnością wyrzec o tém nie można,
 czy wyrabianie u nas burakowego cukru korzystnie się wzmo-
 że i na zawsze utrzyma, czy z czasem, jak we Francyi, upaść
 musi. Niemylnie wszakże twierdzić tylko można, że jeżeli
 przy dozwolonem wprowadzaniu obcego czasu, cena naszego,
 choć cokolwiek, w miarę potrzeby użycia, będzie niższą, na
 tenczas niewątpliwie wyrabianie jego wzmacniać się i state-
 cznie utrzymywać będzie, lecz jeżeli cukier trzcinowy, ze ze-
 wnętrznego handlu pochodzący, mimo dalekiego przywozu i
 opłat celnych, a zawsze, podług mego przekonania, lepszy od
 burakowego, będzie od niego tańszym, wtedy zapewne nastą-
 pi dla cukru burakowego podobna u nas kolej, jaka go po-
 tyka we Francyi, i jaka, prędzej, czy później spotka w innych
 krajach. Gdy zaś uważamy z jednej strony, że w strefach
 południowych Państwa naszego, najwięcej jest ziemi, natural-
 nie mocno płodnej, a tém samem przy znacznie mniejszych
 kosztach uprawy, daleko przydatniejszej, jak gdzie indziej, do

wydawania buraków, a z drugiej strony, że przy mierniej cenie płodów pokarmowych, utrzymanie i opłata użytych robotników jest znacznie mniejsza, jak w innych, produkujących ten płód krajach, a razem, że i koszty wznoszenia wszelkich budów, wyjąwszy do czasu same może maszyny i narzędzia, są także mniejsze, to mieć można zbliżoną do rzeczywistości nadzieję, że u nas z czasem, przy nadanej zwłaszcza osobistej wolności klasie robotników, będzie się mogło z pożytkiem, bez obawy obcego współzawodnictwa utrzymywać i coraz rozszerzać wyrabianie rzeczzonego cukru. Upowszechniając się wtedy wyrabianie, obok ułatwionych wszelkich środków fabrykacyi, sprawi następne niżenie ceny, a ta niżona, uczyni przystępniejszemu dla uboższych klas ludu, tego produktu używanie. Powiększona zaś konsumpcya działać będzie na odwrót, na powiększenie odbytu, a taki odbyt, przy mniejszych nawet częściowych zarobkach, a wielokrotnie w ciągu pewnego czasu powtórzonych, zapewni ogół znacznej korzyści dla przedsiębiorców. A tak pożądaný cel obóstronnie dla społeczności krajowej osiągnięty zostanie.



JEDNO ZE SPOSTRZEŻEN
WOJCIECHA ZBORZEWSKIEGO



O świątłym pasie, widzianym
nad poziomem Półtawy.

W początku porównania dnia z nocą, 1843 roku, widziany był w Półtawie na niebie, pas nadzwyczaj długi, świetny, na pół przezroczysty i mlecznej barwy. Zwykle się zjawiał we dwie godziny po zachodzie słońca, w kierunku Poł. Z. i zachodził na zachodzie. To zjawisko było widziane w Czernichowie 5 marca, w tymże samym czasie widzieli je niektórzy i w Półtawie.

Ja spostrzegłem pierwszy raz 9 marca, i mogłem obserwować potem codziennie. To zadziwiające zjawisko przypominało ogon komet, widzianych 1783 i 1680 roku. Kształt tego świetnego pasa był prawie niezmienny, ciągle od 9 do 13 marca ograniczony prostymi linijami. Nachylony ku Z. od linii W. Z. przechodził między stopą Oryona i Syryusza, zdawał się tworzyć na płaszczyźnie południka z poziomem kąt 30° , który później cokolwiek się powiększył. Drugi koniec osi tego zjawiska, leżący na zachodnim poziomie, zdawał się scho-

dzić z punktem Z. Następných dni, 9, 10, 11, 12 marca zbliżai się powoli ku Pl. na 5°. Te spostrzeżenia były robione codziennie od 8 do 10 godziny wieczorem. Długość pasa nieznacznie codzieli się zmniejszała, z początku rozciągała się na 50°, a w końcu tylko na 45°. Szerokość 9 marca, zajmowała więcej niż $\frac{1}{2}$ °, a 15 mniej niż $\frac{1}{2}$ °. Kolor pasa także godny uwagi, był on mleczny, a 9 marca stał się gesty i wół przezroczysty. Od 9 marca natężenie światła zmniejszało się stopniowo; nakoniec 19 marca pas trudno było widzieć gołym okiem. Ponieważ to zjawisko pokazywało się od 8 do 10 wieczorem, i księżyc w tym czasie zawsze się znajdował pod poziomem, a wysokość barometru mało się zmieniała: stąd wnoszę, że natężenie światła najwięcej zależało od odległości i zjawisk elektro-dynamicznych, grających w tymże czasie bardzo ważną rolę w atmosferze. Wypada nadmienić, że podobnego rodzaju świetne smugi, często obserwowalem w Półtawie od 1839, a w Wołyńskiej gubernii od 1837. Ich barwa i położenie, względem głównych punktów świata, były bardzo rozmaite. Nie normalnie trwała zorza, mleczny blask, rozlewający się po widnokręgu, przyćmienie gwiazd, nie normalne zboczenie igły magnesowej, które towarzyszyły zjawisku świetnego pasa, równie były zauważane przy elekto-dynamicznych zjawiskach podczas stanowisk słońca, porównania dnia z nocą, odmian światła na księżycu, i zaćmień słońca. Lecz pas w mowie będący nazbyt długo pozostawał na jedném miejscu, gdy tymczasem smugi elektryczne nie zostawały dłużej nad dobę. To długie pozostawanie pasa na jedném miejscu, każe się domyslać, że ten musi być ogonem komety, kryjącego się pod poziomem Półtawy.



Opisane zjawisko postrzegane było przez uczonego ziomka naszego Wojciecha Zborzewskiego.

Przełożywszy ten mały urywek z prac Autora (który dotąd pisał po większej części w językach obcych), dołączam przy tém skróconą wiadomość o kometach podług Herszla, bo tym tylko sposobem, dla czytelników nie zajmujących się astronomią, artykuł ten może się stać więcej zajmującym.

Komety przez nadzwyczajne swoje zjawiania się, bieg na pozór nieregularny, i ogrom zadziwiający, były dla wieśniaków postrachem i wróżbą nieszczęść, a zagadką dla więcej obeznanych z cudami stworzenia i działaczami natury. Dziś nawet, kiedy już przestaliśmy ich bieg uważać za nieregularny, i kiedy wiemy, że są podległe tymże prawom, które utrzymują planety w ich orbitach — ich własności i rola w systemacie słonecznym równie są niewiadome jak dawniej. Dotychczas nie powiedziano pewnego, o ogromnych, że tak powiem, dodatkach, które towarzyszą kometom, i zwykle się nazywają ogonami (choć niesprawiedliwie, albowiem często pierwój się pokazują niż komety).

Liczba komet, obserwowanych przez astronomów i wspominanych w historii, rozciąga się do kilkuset. Mnóstwo komet nie może być przez nas obserwowane, dla tego, że drogi ich przerzynają tę część nieba, która leży nad poziomem podczas dnia.

Komety po większej części są utworzone z ogromnej, jasnej, lecz źle zafarbowanej i mglistej masy światła, która się nazywa głową komety — zwyczajnie ku środkowi światło się zgęszcza, i przedstawia świecąca się kulę, podobną do gwiazd i planet. Od głowy, w kierunku przeciwnym położeniu słońca względem komety, wypływają dwa strumienie światła, które w pewnej odległości od jądra, rozszerzają i rozlewają się, a czasami zwięzają się w niewielkiej odległości od głowy; niekiedy odrywają się od niej na wielką przestrzeń i pozostawiają po sobie ślad ognisty. — Ta część nazywa się ogonem

planety. Ogony te bywają nadzwyczajnej długości. Arystoteles (361 r. przed nar. Chr.) wspomina o ogonie komety, zajmującym trzecią część widnokręgu czyli 60°. Kometa obserwowany 1618 r. miał ogon długi na 104°. Kometa 1680 r. jest jednym z najznajomszych i zarazem najgodniejszych uwagi: mając głowę nie większą od gwiazdy wielkości drugiego rzędu, pokrywał swoim ogonem przestrzeń na 70°, a podobno nawet na 90°. Jednakowoż ogon nie zawsze towarzyszy kometom, niektóre z nich, osobiwie te, co były najświetniejsze, miały krótkie i dosyć ciemne ogony inne nawet nie miały żadnych. Komety 1585 i 1763 r. były bez ogonów, a Cassini opisuje komętę 1682 r., który był tak świetny i okrągły jak Jowisz. Przeciwnie znowu, były komety, które miały po kilka ogonów, i jakby płynące strumienie światła. Ogony komet mają bardzo często kształt krzywy, nachylony po większej części ku stronie opuszczonej przez komętę, tak, jakby ogon miał bieg powolniejszy lub spotykał przeszkody.

Mniejsze komety, które mogą być obserwowane tylko przez teleskopy, lub gołym okiem z wielką trudnością, i których liczba jest bardzo wielka, często zdają się być okrągłymi i cokolwiek owalnymi, mglistymi massami, gęstszymi ku środkowi, lecz pozbawionymi jądra i charakteru ciał stałych. Ponieważ postrzeżenia przekonaty, że nawet największe komety, niby mające jądra, do tychczas nie przedstawiały odmian światła, nie zważając na to, że świecą przez odbicie promieni słonecznych, wypływa wniosek, że je można uważać, jako masę subtelnej pary, która może być przyciągana promieniami słonecznymi, i odbija je w każdym punkcie, jak zewnątrz tak i wewnątrz. Tego objaśnienia nie można uważać za naciągnięte i wymuszone, i nie potrzeba odsyłać się do fosforycznych własności samych komet, aby objaśnić to zjawisko, jeżeli zwrócimy uwagę na niezmierną przestrzeń oświetloną, a nadzwyczaj małą masę, którą można przypisywać tym ciałom. Najbliższy obłok, pływający w wyższych sferach na-

szęj atmosfery, obtok, co przy zachodzie słońca zdaje się, że goreje, bez najmniejszego cienia możemy uważać za ciało stałe, w porównaniu z tém, co tworzy komety. Podczas obserwacji za pomocą mocnego teleskopu, mknie wszelki domysł o gęstości najtwardszej części głowy, która nie uzbrojonemu oku zdaje się być jądrem. Wreszcie, w niektórych był zauważany bardzo mały, podobny do gwiazdy punkt, dowodzący bytności stałego ciała.

Bieg komet na pierwszy rzut oka zda się być nieregularnym i niestatym. Komety są widoczne przez całe dni, a nawet i miesiące; jedne mają bieg bardzo wolny, drugie nadzwyczaj szybki; często nawet zdarza się, że jeden kometa w różnych częściach swój drogi, postępuje z nie jednostajną prędkością. Kometa 1472 r. opisywał na niebie przez dobę łuk 120°. Jedne mają bieg postępujący, inne wsteczny, inne znowu wężykowaty, zupełnie nieregularny kierunek; nie ograniczają się tak, jak planety, pewną przestrzenią nieba, lecz przebiegają wszystkie jego części. Odmiana ich wielkości w czasie pokazywania się, zdaje się być tak znaczną, jak zmiana prędkości; czasem zdają się ciałami słabemi, mglistemi i wolno się poruszającemi, z małym ogonem lub całkiem bez ogonów — lecz z wolna powiększają się, mają coraz prędszy bieg, i wyrzucają z siebie ogon, który się przedłuża i coraz mocniej jaśnieje, dopóki przybliżając się do słońca, nie zniknie w jego promieniach. Po upływie pewnego czasu zjawia się z drugiej strony słońca, oddala się od niego z nadzwyczajną prędkością, która coraz się zmniejsza. Zwyczajnie komety po przejściu przez słońce mocniej świecą, i ich ogony dochodzą największej długości, co pokazuje, że promienie słoneczne są przyczyną ich światła. W miarę odległości od słońca, bieg ich staje się powolniejszym, ogony znikają, albo bywają pochłaniane przez głowy, które stopniowo same są mniej jasne i nakoniec zupełnie znikają, po większej części na zawsze.

Niektóre z komet nigdy nie wracają w granice naszych spostrzeżeń — one uchodzą w granice drugich systematów, albo giną w nieograniczonej przestrzeni, i inne przeciwnie, po upływie pewnego przeciągu czasu, znowu pokazują się w naszym systemacie. Z tych najgodniejszych uwagi jest kometa Halleya, tak nazwany od znamienitego Edwarda Halley. On wyrachowawszy jego elementa z przejścia perygeum w 1682 r. — czas największego blasku, kiedy ogon był długi 30' — wywiódł, że to ten sam kometa, co się pokazywał 1531 i 1607 r., elementa ostatnich on także oznaczył. Ponieważ przeciąg czasu między każdym zjawieniem się był 75 lub 76 lat, Halley więc ośmielił się przepowiedzieć powrót komety na 1759 r. Tak ważna przepowiednia zwróciła uwagę wszystkich astronomów, i gdy się zbliżał czas naznaczony, chciano się dowiedzieć, czy większe planety nie wywarły wpływu na bieg ich po orbicie. Wyrachowanie takiego wpływu na zasadzie praw ciążenia Newtona, było zadaniem bardzo trudném i złożoném; oznaczono jednak, że spodziewany powrót przypadnie 1759 r., w środku kwietnia, albo na miesiąc wcześniéj lub późniéj. Pyszny powrót wyrachowano na 4 lub 7 listopada 1835 roku, nastąpił jednak, jak wiadomo, kilką tygodniami prędzej. Komety, przechodząc w bliskości planet, bywają odciągane ich siłą ze swoich orbit, niekiedy nawet przemieniają swój kierunek na inny, zupełnie przeciwny. To się najwiecej stosuje do Jowisza, który z jakiejś niepojętej przyczyny, jest zawsze na przeszkodzie biegowi komet. Godny uwagi kometa 1770 r., odkryty przez Lex'ela, powinien był co 5 lat swoje opisywać drogę, i na téj zasadzie powrót jego był przepowiedziany; lecz przepowiednia nie ziściła się, dla tego, że ten kometa zszedł się ze satelitami Jowisza, był wyparty ze swojej drogi, i wciągnięty na daleko większą elipsę. Przy tém dziwném spotkaniu, bieg satelitów w niczem nie został nadwężony, jawny dowód nicości masy komet!

Pozostaje jeszcze cokolwiek powiedzieć o rzeczywistych wymiarach komet. Wyrachowanie średnicy głowy, długości i szerokości ogona, nie przedstawia żadnej trudności, skoro są wiadome elementa ich orbitów: bo dowiadujemy się w każdym czasie o prawdziwej ich odległości od ziemi i rzeczywistego kierunku ogona, który zwykle bywa widziany w skróceniu. — Wyrachowania, zasadzone na tych początkach, doprowadzają do wniosku, że komety są najogromniejszymi ciałami naszego systematu. Wymiary komet, nad którymi robione były spostrzeżenia, są następujące: Ogon wielkiego komety 1680 roku natychmiast po jego przejściu przez perygelium, wynosił połudług wyrachowań Newtona blisko $22\frac{1}{2}$ milionów mil, a na wypływ jego, z jądra planety, potrzeba było dwóch dni: oczywisty dowód, że wypływ pochodził od działania niezmiernej siły, która, wnosząc z kierunku ogona, pochodzić musiała z samego słońca. Największa jego długość jest 30 milionów mil z górą, co przewyższa odległość słońca od ziemi. Ogon komety 1709 r. rozciągał się na 12 milionów mil, a wielkiego komety 1811 r. z górą na 27 milionów. Część głowy tego ostatniego komety, z przezroczystym obłokiem atmosfery, który go oddziela od ogona, miała 135 tysięcy mil średnicy. — Trudno przedstawić, żeby ciało, rzucone na tak ogromną przestrzeń, mogło znowu się złączyć siłą przeciągania tak słabą, jak jest siła komet. To jest dowodem szybkiego powiększania się i zmniejszania ogonów, nad którymi często robiono spostrzeżenia.

*Pisano w Moskwie
dnia 5 Paźd. 1843 r.*

K. DYLEWSKI.

STAROSTA ..

I DIABŁĘ BORUTA

LEGENDA

przez mieszczanina łęczyckiego autorowi opowiedziana.



PRZEJEŻDŻAJĄC niedawno przez Łęczycę, zatrzymałem się w tém mieście, w liczne wspomnienia bogatém. Dzisiaj jest ono bardzo porządne, oprócz wielu dawnych dwu-piętrowych domów murowanych, posiada piękny gmach gimnazyalny i przyjemny dla oka park, na dawnych błotach gustownie urządzony. Latarnie rewerberowe oświetlają w nocy ulice, w domach wypełnione Staro-zakonnymi, jak każde prowincjonalne polskie miasto. Niemożna jednak powiedzieć, żeby nie było ożywione i ciągle przybywającą okoliczną szlachtą. Są jeszcze tacy, co chociaż nie jedną butelką węgryna mają zaopatrzoną piwnicę, chowają go dla przybyć mogących gości, a sami częstują się u Lejzera w rynku. Nie trudno widzieć jak zgłodniałe konie stoją dwa dni na bruku, zaprzężone w bryce, bo pan ciągle wybierający się z powrotem do domu, nie każe odjechać do oberży, a tymczasem przybywają sąsiedzi i zniewalają do pozostania na miejscu — to jest przy butelce.

Ale nie o tém chciałem wam mówić:

Tom I. Poszyt III i IV.

Miasto posiada rozwaliny starego zamku, dużą przestrzeń zajmujące. Świecki w opisanu Starożytnéj Polski, mówiąc o Łęczycy, wspomina, iż o zamku, którego rozwaliny dotąd widzieć można, utrzymuje się podanie o diable Borucie, podobne do tego, jakie mają Francuzi o Magiellonie. — Ja zaś zupełnie co innego słyszałem, i dla tego, tak jak słyszałem, pragnę dosłownie wam opowiedzieć.

Kiedym obchodził rozwaliny do koła, zatrzymał się przy mnie, w podeszłym będący wieku mieszczanin łęczycki, ciekawie na mnie spoglądając. — Przypnacie mi że często zdarzy się spotkać nieznajomego, mówiącego wzrokiem, że chce być zaczepionym, pytanym. Zachęcony tym wzrokiem, zacząłem rozmowę z nieznajomym od słowa: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. (Bo takie powitanie utrzymuje się ciągle nie tylko po wsiach, ale i w miasteczkach między uboższą klasą — możniejsi padają sobie do nóg. — Na wieki wieków“ odpowiedział starzec. — Pan zapewne jesteś podróżnym, nie z naszej ziemi, kiedy się tak ciekawie przypatrujesz rozwalinom, wszystkim znanym w okolicy. — Tak jest, odrzekłem, mieszkam w Czerskiem, i ze wstydem wyznaję, że pierwszy raz jestem w tych okolicach. — To zapewne byłeś za granicą! — Nic w tém dziwnego, wszyscy tak postępujecie. Marzycie o zagranicy jak o raju — i niecierpliwie dążycie w strony, gdzie dla was mowa, wspomnienia i obyczaje są obce, a tu tejsze, miejscowe okolice znacie zaledwo z jakiegoś opowiadania. — Każden z was z dumą mówi o towarzystwach, o Wiedniu, Berlinie, Paryżu, a wstydziłby się nieledwie powiedzieć: „poznałem dokładnie kraj rodzinny“. — Służętem mój, panie wojskowo — ja byłem w obcych krajach, ale doprawdy, za nic w świecie nie chciałbym się tam pozostać. Jako żołnierz przeszedłem nasz kraj wzdłuż i wszerz, przekonałem się że i u nas są przedmioty uwagi godne. Mamy tyle miejsc sławnych — tyle wspomnieniami swemi mówiących gruzów. — Uczciwi są też ludzie, co wskrzeszają w pamięci te wspomnie-

nia, — Niech ich Pan Bóg błogosławi. — Zapewne i o tych rozwalinach jest jakie podanie? — O jest i piękne, ale dość długie, (a oglądając się do koła, dodał) dla tego, stojąc na ulicy, niepodobna opowiedzieć. — A więc, jeżeli łaska, to proszę do mojej oberży, tam nikt nam nie przerwie opowiadania, jeżeli mi pan nie odmówisz téj przyjemności. — Nie dając się prosić dłużej, poszedł zemną. Zasiedliśmy na kanapie, a mój nowy znajomy zaczął opowiadać w te słowa:

Miało to być bardzo dawno, kiedy w zamku, którego gruzy pan oglądałeś, mieszkał zamożny starosta. — Nazwiska jego nie wymienię, bo jeszcze żyją jego potomki — a dumni może z dawności rodu, nie ucieszyliby się zapewne, że lichy mieszczanin łeczycki wskazuje plamę na zardzewiałym klejnocie herbowym.

Ten tedy pan, żyjąc jak wszyscy magnaci tego czasu, utrzymując dwór liczny, więcej tracił, niżeli miał przychodów. — Chcąc utrzymać, jak to mówiono, splendor swego domu, wpadł w długi po uszy. — Nieraz wśród głośniejszej biesiady chmurne zmarszczył czoło, przewidując, że nie długo będzie mógł tak biesiadować. Serdeczni nawet przyjaciele, te pasorzyty bogaczy, zaczęli robić uwagę, że pan starosta nie tak dobrem i nie tak obficie, jak dawniej, częstuje winem. — Bo je bierze na kredyt od żydków łeczyckich, wyrzekł nieostrożnie jeden z biesiadników. — Dosłyszał tego starosta, a piorun padający przy jego nogach, nie tyleby go przeraził, ile te słowa. — A więc już drobna szlachta wie o mojem nieszczęściu! (mówił sam do siebie). To okropnie! — nie! — ja tego nie zniosę, to jest nad ludzkie siły! Zamożniejszy z dziada, pradziada, mam stanąć na równi z szlachtą okoliczną? O nie! — do tego nie przyjdzie, chociażbym miał piekło sprzedać duszę. — Piekło słów tych dosłyszało, chociaż w duszy wymówionych. — Będzie naszym! zawołał Lucyfer do stojącego przy nim diabła. Beruto! ruszaj na błota łeczyckie, będziesz miał sprawę z starostą.

Starosta od czasów owój biesiady ciągle był smutny i zamyślony. Napróżno, goniąc resztkami, starał się zagłuszyć licznych spraszając gości. Wszyscy widzieli troskę ómiącą jego oblicze; zdradzał go przymus, udana wesołość zdradzała. Okropnie to widzieć usta skrzywione kłamanym uśmiechem, kiedy wszystkie muszkuły kureczą się do płaczu! — a jeżeli taki uśmiech fałszywy wstyd wywołuje, w ten czas ma on w sobie coś szatańskiego.

Przywiedziony do rozpacz, pewnego jesiennego poranku starosta w brew swemu zwyczajowi, bez licznój drużyny i stralców, sam wyszedł na polowanie, bez innego towarzysza, prócz ulubionego wyżła, który wrodzonym instynktem wiedziony, opuściwszy głowę, zdawał się dzielić smutek pana, nie znając przyczyny.

Gdzie pan teraz widzisz porządną, wysoko usypaną groblę za miastem, na trakcie do Kłodawy prowadzącym, przed niedawnym jeszcze czasem były trzęsawiska i bagna trzcina poroście. Na tych trzęsawiskach polując, trzeba było odważnie i z wielką zręcznością z kępy na kępę przeskakiwać. — Liczne bywały przykłady, że nieostrożny myśliwiec źle skok wymierzwszy utonął w bagnie. — Gdy się zdarzyło, że któryś z myśliwych nie powrócił, mówiono, że go diabeł Boruta obiął i porwał do piekła. — Przypadki te jednak nie odstraszały okolicznój młodzieży, bo przyznać trzeba, że mamy we krwi zamilowanie niebezpieczeństw. — Nie jeden szlachcic w spóźnioną porę, wracając z Łęczycy zgłodniałymi na rynku przy długiem czekaniu szkapami, całą noc przesiedział w błocie, pewny że go Boruta zatrzymał. — Jeżeli miał cokolwiek przytemności, odmawiał pacierze — jeżeli nie — to przespał się w bryce aż rozedniało.

Na te te trzęsawiska poszedł starosta, zarzuciwszy fuzyję na ramię. Nie dbał o to, czy co ustrzeli, bo inne, zbrodnicze myśli kierowały jego kroki. — Słyszał o zjawiającym się Borucie — niezaprawdę wierzył powieści gminu, ale nie chciał

się wyrzec ostatniej, choć wątpliwéj nadziei — nadziei pomocy piekła. — Sprobuje (mówił do siebie), jeżeli mi się djabeł pokaże, musi mi dać pieniędzy, dużo pieniędzy! W tych myślach zatopiony, szedł coraz dalej i głębiej w gęstwinę trzcinny i śitowia. — Nie zważał na swoje kroki, nie myślał gdzie postawi nogę — nie zastanawiał się nad niebezpieczeństwem. Rzeki-byś, że jakaś tajemna siła udzielała mu swojej opieki. Nie spostrzegł jak zaszedł daleko — a był w nieznaném miejscu — nigdzie połamana trzcina nie wskazywała bytności kiedykolwiek ludzkiej stopy. — Głucha samotność panowała do koła. — Nie obejrzał się, szedł dalej — aż w końcu zmęczony odpocząć postanowił. — W tenczas dopiero zaczął się rozpatrywać. — Znalazł obszerną kępę nad błota wystającą, do niej więc zdążył. Tam usiadł, dobył z torby flaszkę, i trunkiem odwilżył długiem chodzeniem zmęczone piersi — a podzieliwszy się myśliwskim śniadaniem z wiernym, u nóg leżącym wyżłem, zaczął dumać o swoim losie. — Zadumane-mu zdawało się, że w jakiś inny świat przeniesionym został. Cała przeszłość w fantastycznym obrazie okazała się jego duszy. — Czuje, że jest magnatem i zapomina o grożącym niedostatku. — Z tego dumania wpadł w stan letargiczny, pół-senny, pół-czuwający, w którym wiemy o sobie, a nie możemy dać kierunku swoim myślom. — Jest to przejście od czuwania do snu zupełnego, przejście, któremu granicy naznaczyć niepodobna. — Zasnął nareszcie — byłby spał niewiem jak długo, gdyby go nie obudziło naprzód warczenie, a potem smutne, przeciągłe wycie wiernego wyżła. Przebudziwszy się, ujrzał na widnokręgu obłoki runieniące się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. — Ogląda się do koła, chcąc rozpoznać co dało wyżłowi powód do szczekania i tak widocznój niespokojności — nic jednak nie znajduje. Tam do licha! (zawołał) słońce zaszło — jak się tu dostać z powrotem przez trzęsawiska, których przy świetle dzienném bez niebezpieczeństwa przebywać nie można? Nocować tu nie-

podobna! W tém pies zawył okropniéj. — Starosta z przerażeniem ogląda się w stronę, w którą wyżej był obrócony — co-raz więcéj się ściemniało, i dla tego nie dowierzał sobie, czy istotnie spostrzegł kogoś wychodzącego z najgęstszej kępy sitowia. — Kto tam! zawołał porywając za fuzyę. — To ja, łagodnym odpowiedział głosem, tak niespodzianie przybyły. Wiedząc, że tu sam jesteś, panie starosto, przyszedłem ci nieść pomoc, bardzo potrzebną w téj chwili. — Kto jesteś? — Brat szlachcic, z niskim odpowiada ukłonem zapytany. — Nie dobrze o téj porze być samemu w tém miejscu, bo i wyjście niebezpieczne i spotkanie się z Borutą bardzo łatwe. Musiałeś pan słyszeć, że on panuje w tych okolicach. — Pies znów zawył okropnie. — Przeląkł się starosta, zdawało mu się, że oczy mówiącego nadprzyrodzonym jaśnieją blaskiem — zapach siarki z zapachem trupim rozszedł się do koła. — Pies coś wietrzył w powietrzu i wył przeraźliwie. — Matko Niebieska! zawołał starosta — na wyraz „Matko„, skrył się przychodzien, ale po chwili znowu się ukazał i w te odezwał się słowa: „Panie starosto! wiem z kim mam sprawę, i dlatego odrazu przystępuję do rzeczy — jestem Boruta, przychodzę na twoje usługi. — Widzisz, że mam postać kontuszowego szlachcica. — Niewiadomi dają mi strój kusy, niemiecki, zapewne jak gdyby mi niewolno było ustroić się podług gustu i mody. — W strój ten zresztą przybrałem się dla tego, żeby nie przerazić cię starosto. Pragnąłem żebyś wemnie widział brata, bo mam nadzieję, że się pobratamy. Zimny pot wystąpił na czoło starosty — przestach i jakaś tęskuota ogarnęła umysł — ale Boruta owionął go swoim oddechem — Starosta lubo nie weselszy, czuł się silniejszym i odważniejszym. — Śmiało spojrział czartowi w oczy i rzekł: jakimże sposobem możemy się pobratać? — Bardzo łatwym — powiedz czego pragniesz, ja uczynię żądaniom zadosyć. — Ty przez wdzięczność nie puścisz mnie z niczem — a tak zawrzemy wzajemne stosunki.

Starosta tak myślał w sobie: jeżeli to jest diabeł, musi też być i piekło — będzie chciał duszy, jak od Twardowskiego — niewarto cierpieć na wieki za doczesne dostatki — żeby go można oszukać! — Diabeł wiedział co myśli starosta, i rozśmiał się w sobie. — Poczekaj! pomyślał, chcesz być oszustem, a będziesz oszukanym. — No starosto, co myślisz? niema czasu do stracenia. — Wiem żeś zadłużył ojcowiznę — wstyd ci, że nie możesz żyć tak szumnie jak przedtém — Wstyd ten jest słuszny, bo niema nic więcej upakarzającego dla magnata, jak jego upadek. Sprawiedliwie więc, nie dawno wśród biesiady, kiedy rozmawiali o tobie przyjaciele, wyrzekłeś, że musisz mieć pieniądze, choćby się zaprzedać diabłu. — Nie dziwuj się, że wiem o tém, bo przecież sami mówicie, że uczta dla tego się nazywa biesiada, że na niej bies - siada. — Istotnie słyszałem jakieś to pomyślał, i dla tego cię tu sprowadziłem, ażeby zdała od ludzi, w granicach mojej rezydencji pomówić z tobą. — Och wy ludzie! jakże śmiesznymi jesteście z waszą dumą, gorszą od dumy czartowskićj! — Marzycie o samoistnej woli, a nie wiecie, że waszą wolą kto inny kieruje. Cha! — cha!.. diabeł Boruta wprowadził starostę na błota, a starosta mniemał, że sam z własnej woli tu przybył. — O, tego nie wmówisz we mnie, że nie mam własnej woli — chciałem żądać twojej pomocy i dla tego tu przyszedłem. Złapałeś się próżny człowiecze! nie powiesz, żeś działał bez namysłu, (rzekł diabeł w sobie) — Pomagaj więc czarcie. — Dobrze — ale jak mnie wynagrodzisz? bo trzeba ci wiedzieć, że diabli nauczyli się od ludzi nic darmo nie robić. Dasz mi duszę za złoto? — Nie dam duszy! — Więc bądź zdrow! — odchodzę. — Zlituj się nademną! zawołał starosta, nie opuszczaj mnie, potrzebuję pieniędzy! Niechcąc dać mi duszy, czemże pomóc opłacisz? — Wszystkiem, co zechcesz, byle nie duszą! Słuchaj więc: nie będę dla ciebie zbyt wymagającym — sprzedaj mi sumienie, albo ciało twojej schorzałej matki. Jeżeli dasz sumienie, przez

ciąg twojego życia, będę z niem robił, co mi się podoba — będę je szarpał, dręczył, lub zagłuszał na czas niejaki, według mojej fantazyi. Sumienie twoje będzie na moje rozkazy, jak wierny niewolnik. — Czasem na większe twoje udręczenie skrucza je opanuje, czasem żal, a czasem szalona, pijana radość — najczęściej rozpacz. — Wolę ci wszystko naprzód powiedzieć, żebyś potem żalując nie mówił, że cię oszukałem; żeś zgrzeszył niewiadomością. Jeżeli mi sprzedasz ciało matki — zaręczam ci, że jej dusza nie zginie — do téj nie mogę od ciebie nabyć prawa, chociażbym tego gorąco pragnął. — Skutkiem naszej umowy to tylko nastąpi, że twoja matka, zamiast odzyskać siły i zdrowie, na długo przeciągnąć mogące jej życie, skona przedwcześnie, a jej ciało — my diabli weźmiemy między siebie. — Niemożna mniej wymagać. — Sprzedasz mi ciało, które prędzej czy później zakryje ziemia — rozniesie w zgniliznie powstałe robactwo — wszystko zmarnieje, w nie się obróci, a ja chcę ci za to ciało dać złoto — tyle złota, ile tylko zapragniesz. Niema się co namyslać. — Komu innemu nie dałbym tak lekkich warunków — kończ prędzej, bo odejść muszę. — Starosta zaledwo stłumić zdoła swą radość. — Nie pojmuje, że diabeł tak mało od niego wymaga, boi się zdradzić ukontentowanie. — O głupiś diable! nie sprzedam duszy, sumienia, tylko ciało matki — a chociaż prędzej świat ten opuści, niewiele na tém straci. Podeszła w lata, schorzała, nie dba o życie. — Zgoda Boruto, zgoda, przyjacielu! — Gdy tych słów domawiał, już go czart zakuł w mały palec lewej ręki, i tyle krwi wytoczył, ile było potrzeba do napisania cyrografu. Starosta podpisał — Boruta nadstawioną torbę myśliwską napelnił złotem, i zaręczył, że się ta nigdy nie wypróżni. W dodatku do tego targu (rzekł diabeł) wyniosę cię z błota bez szkody. Zaledwo to wymówił, wpół schwycił starostę, i w okamgnieniu postawił w jego sypialnej komnacie, a potem na pożegnanie, rozśmiał się prawdziwie czartowskim śmiechem, aż szyby okien zabrzękły. — Po-

wstał szum wielki — domowe psy żałośnie zawyły, a diabeł odchodząc rzekł: „Głupi człowiecze! myślałeś oszukać diabła, a nie wiedziałeś, że kto sprzedaje ciało matki, sprzedaje razem i sumienie swoje i duszę swoją!”

Starosta nie słyszał ostatnich słów czarta, bo jakże mógł coś usłyszeć, kiedy u niego wszystkie zmysły zwały się w jeden zmysł widzenia? — Posiadał złoto, patrzył na złoto — nie dbał o resztę — nie myślał, że te pieniądze, to ciało matki! Co go to obchodziło! był bogatym i mógł częstować po dawnemu, a nawet świetniej niż po dawnemu. — Niczego też gościom nie żałował, bo pieniądze nigdy się nie wyczerpywały. Wszyscy radzi uczęszczali w dom starosty, pod niebiosą hojność pańską wynosząc.

Niektórzy z biesiadników dziwili się złąd staroście na to wszystko wystarcza, kiedy wiedzieli, że przed niedawnym czasem już mu i o kredyt było trudno — ale o tém bardzo ostrożnie mówili, żeby hojny gospodarz nie usłyszał, żeby nie stracić wygodnego miejsca u obłitego we wszystko stołu.

Kiedy tak biesiadowali, schorzała matka starosty zbliżała się do grobu. Starosta udając troskliwego syna, sprowadzał wielkim kosztem najściawniejszych lekarzy, aby radzili o zdrowiu matki, chociaż wiedział, że te narady, jakkolwiek w liczném odprawianem gronie, żadnego nie przyniosą skutku, bo ciała, już dawno sprzedanego diabłu, żadna potęga wydrzeć mu nie zdoła; czynił to jednak dla oka ludzkiego — nie ubywało mu przez to pieniędzy, (które raz wydane wracały na powrót) a przybywało sławy przywiązanego syna.

W kilka niedziel wypadło staroście w interesie publicznym puścić się w daleką podróż. Chcąc się okazać pokaźnie, zabrat ze sobą nie tylko dworzan i dworskich ludzi, ale i wiele uboższej szlachty, wszystkich bogato, w świetną barwę przystroiwszy.

W opustoszałym zamku została prawie samotna umierająca matka, kiedy starosta po odbytej czynności zbliżał się do

domu z powrotem, nieszczęśliwa ostatniego oddała ducha. — Nie było komu sprowadzić księdza, bo pozostali przy chorąg szludzy, woleli w odległej izbie czeladniej pić za zdrowie, niżeli troszczyć się o jej potrzeby. Przeczorniejsi, przewidując jej bliski koniec, chwyтали co mogli z drogich sprzętów — myśląc raczej o z bogaceniu siebie, niżli niesieniu potrzebnej pomocy umierającej. Umarła nieboga bez ostatniej chrześcijańskiej pociechy. W ostatniej chwili wzywała niewdzięcznego, wyrodnego syna — mniemając, że godzien jej macierzyńskiego błogosławieństwa — ale tego głosu nikt nie słyszał z ludzi. — Słyszeli Anieli w Niebie i zapłakali — słyszał i Boruta, który już przyszedł po swoje zdobycz, i znowu rozśmiał się szyderczo z błędu matki.

Kiedy już staruszka skonała, zeszli się żebracy, a pewni sutęj jałmużny zajęli się ciałem. Bziad poszedł po księdza — baby obmyły ciało — służący urządzili kataflak na środku komnaty — pootwierane okna zastanili prześcieradłami — zapalili gromnicę, i w głowach nieboszczki postawili duży krzyż srebrny, a w nogach, na talerzu święconą wodę i kropidło; w ręce nie dano krzyża, bogaty bowiem krzyżyk, przy którym za życia modliła się staruszka, ukradł jeden z służących. — Około ciała poklekwały na wpół-pijane baby, śpiewając nabożne pieśni i rozmawiając o swoim zarobku na ostatnim odpuszcie.

Poświęcona gromnica, krzyż w głowach umarłej, święcona woda w nogach, nie podobały się Borucie — nie mógł się zbliżyć do ciała wśród tych świętości. Ale diabeł umiał sobie poradzić. Od strony, gdzie silny wiatr dął w okno, odchylił prześcieradło — zagasła gromnica — przełknięte baby, uciekając w ciemności, przewróciły gromnicę, krzyż i wodę. — Ziecieli się diabli i ciało porwali. — Ochłonawszy z trwogi, z rozpalonemi świecami powróciły baby w liczniejszym już gronie, lecz któż opisze przestrasz, jakiego doznały niezastawszy ciała? Zgiełk i trwoga napętniły zamek —

Baby krzyczały jak opętane: Ja widziałam trzech wilków, z trzech stron świata wpadających, których ślepia całą oświecały komnatę, słyszałam jak zawyły, widziałam jak ciało porwały, rzekła jedna — wiecie że jestem kulawa, a nie mogąc zdążyć za wami, zostałam w środku komnaty. — Nieprawda odrzekła druga, i ja przecie chronię, także byłam w komnacie, i widziałam trzy czarne, ogromnej wielkości kruki czy orły — krakały srodze, a w szponach ciało unosząc, dziobami je szarpały na sztuki — a widno było, bo ślepia świeciły. *(Dotąd)*.

Baby coraz głośniej wrzeszczały, bo każda chciała się utrzymać przy honorze, aby jej opowiadanie za prawdę było przyjęte. — Już się i porwały do siebie — a w tém podkow końskie zadzwoniły na bruku dziedzińca zamkowego — wjechał starosta ze swoim orszakiem. — Usłudni domownicy nie dali czasu staroście wejść do komnat, i na wschodach jeszcze opowiedzieli, że matka umarła, a ciało porwały wilki czy kruki. — Wilcy! miłościwy Panie — woła jedna. — Nie wiercie Panie, nie wilki to były, ale orły czy kruki — widziałam na własne oczy. — Ona panie ma tylko jedno ślepie! — i śmie mi w żywe oczy fałsz zadawać.

Starosta w jednej chwili wszystko zmiarkował, i odrazu co począć postanowił. Naprzód rozdał żebractwu bojną jarmużną i dziękował za pilnowanie ciała — a potem, obróciwszy się do zebranej tłuszczy, tak przemówił: Moi ludzie! wszystko mi jedno, wilki czy kruki ciało porwały; kiedy go nie ma, widać że ktoś porwać musiał. Dla mojej sławy i waszego interesu potrzeba o tém zachować jak najgłębsze milczenie. — Niema ciała, nie byłoby pogrzebu i stypy. — Musielibyście się rozejść nie nie zyskawszy — przyrzeknijcie więc milcząć o tém, a suto was obdarzę i uczęstuję. Każdy zrozumiał swój interes i zaprzysiął. — Baby jednak na boku półotłosem spierały się jeszcze: Aha! — pewno wilki! — Gadał ty że wilki — a ja wiem że kruki. — I znów coraz

głośniejsza powstawała sprzeczka, znów zaczęły baby przy-
skakiwać do siebie i grozić koszturami — ale na rozkaz sta-
rosty służba je rozdzieliła. " ✕

Starosta przygotował się suty wyprawić pogrzeb, bez
względu na to, że ciała matki nie było. Nim się udał na spo-
czynek zajrzał do torby — pełna złota jak zawsze. — Dobrze
(pomyślał), będzie i stypa suta i kościół dla jej pamięci wy-
stawię. — Kościół za diabelskie pieniądze! — Możesz oszukać
ludzi, ale Boga nie oszukasz! — Kto do mnie mówi? krzyknął
prerażony — obejrzał się — ale nikogo nie było — prze-
mówiło sumienie, ale tak głośno, że starosta usłyszał. — Zmar-
szczył czoło, wychylił duży puchar wina, bo to zawsze stało
przy jego łożu — aby przywołać nieposłuszny sen na zmor-
dowane powieki. — Przewracał się i męczył na łożu, — za-
snął dopiero nadedniem. Nie pierwsza to noc taka! — Od
chwili zawarcia umowy z piekłem nie miewał lepszych.

Ciągła trawiła go niespokojność. — Nie umiał sam przed
sobą zdać sprawy z własnych uczuć. — Wszak nie sprzeda-
łem sumienia ni duszy, mawiał do siebie, co mnie tak drę-
czy? — Nie pojmuję! — Po każdym takim monolegu wychylał
kielichy i o wszystkim zapominał. — Bezsennością zmordo-
wany, powstał z łoża starosta. — Zwołał dworzan i tych z li-
stami zapraszającemi rozesłał do znakomitszej ekolicznej szla-
chty. Służących do różnych klasztorów i parafij z zaprosze-
niem księży.

Znająca hojność starosty, licznie zebrała się szlachta, i
księży było nie mało. — Pogrzeb był tak okazały, jakiego naj-
starsi nie pamiętali. — Jadła, napoju do zbytku na stypie! —
Msze wszędzie zakupione — ubodzy obdarzeni jałmużną, o-
dzieniem i obuwem. A to wszystko za pieniądze, wzięte za
sprzedane ciało matki! — którego nie było w trumnie — z oka-
załością pochowanej. Sąsiedzi chwalili przywiązanie synow-
skie i życzliwość braterską. — Księża chwalili pobożność, ubo-
dzy dobroczynność magnata! — a diabeł Boruta śmiał się

z niewiadomości ludzi. — Nie wszyscy jednak dobrodusznie potakiwali. — Byli i tacy, co pomiędzy sobą coś szeptali, ale to bardzo cicho, i starosta nie dosłyszał. Znać że baby, pomimo okupionój na wagę złota tajemnicy, nie mogły milczeć zupełnie. — Uplywały tygodnie, miesiące, starosta najbogatszy w okolicy, zawsze otoczony liczném gronem gości, których spraszał i częstował, na łowach i pijatyce cały czas przepędzał, bo nie miał innego zajęcia. — W wigilią rocznicy targu o ciało matki, starosta był niespokojniejszy, chociaż nie wiedział przyczyny. — Strach jakiś nieznany przebiegał dreszczem po wszystkich kościach i szpik w nich ziębił. Pragnął samotności, a lękał się, gdy nikogo przy nim nie było. Nie wiedział co począć z sobą; nie wiedział czy się gniewać na swoich dworzan, że go nie umieją zabawić — czy się modlić. — Było to dla niego nowe i jakieś niepojęte uczucie. — Tak przeszedł dzień cały. — Gdy spóźniona pora wszystkich wzywała do spoczynku, starosta, który zawsze sam sypiał, kazał dwom najzaufańszym służącym na tę noc spać przy sobie — i większą, niż zwykle, przysposobił porcyą wina. — Na złoto nie patrzył, bo mu dziś obmierzło. — Wszyscy zasnęli — cichość nocy panowała w komnatach, w których przed chwilą słyszałeś śmiechy niepomiarowane i pieśni bezbożne, bo starosta dziś bardziej chciał się zagłuszyć. — Rozmarzony winem zasypiał — czy zasnął? — gdy go ocuciły postyszone jęki. — Z początku myślał, że to który ze służących przez sen płacze, ale jęk ten coraz wyraźniejszy, zdawał się wychodzić to z przyleglój komnaty, to z góry uderzał w słuch jego, to znowu z pod ziemi. — Serce biło mu gwałtownie — krew tak silnie biła w żyłach, że zdawało się, że je rozerwie. — Podniósł się i usiadł na łożu — przetarł oczy — starał się przyjść do przytomności — woła na służących — ale ci twarzym, jakby nadprzyrodzonym snem uśpieni, nie słyszą wołania. W tém podwoje przyleglój komnaty, na prośt łoża starosty, same się na ścieżaj rozwarły. — Postać matki całunem

okryta staje naprzód we drzwiach — załamuje ręce — a potem zbliża się do syna. — Stanąwszy przy samém łożu, znów jęczy i załamuje ręce, z których już ciało opadło, i mówi do syna ustami bez ruchu, w których już nie było języka. — Wyrodny! sprzedałeś biédnej matki ciało! Patrzaj — rozszarpano je na drobne części — rozdarto łono, w którem wzięłeś życie, — rozdarto piersi, które cię wykarmily!... To mówiąc, odkryła poszarpane ciało, którego cząstki drgaly i zdawały się żyć oddzielném życiem — serce biło nienaruszone. — Przypatrz się twojemu dziełu! — Moje rozszarpane ciało żyje w każdej cząstce — serce bije w rozdartéj piersi; — a na zwiększenie mojej męczarni, każda cząstka osobno czuje, osobno myśli i osobno cię przeklina!... Poćwiertowane ciało nie ma pogrzebu — nie przykrywa je święta ziemia — robaki tchnąć się go nie śmieją, bo te części żyją, chcą się spoić, aby umrzeć razem — ale się spoić nie mogą, boś ciało moje sprzedał — bo je piekielna rozszarpała ręka — a każda cząstka moja żyje, czuje i cierpi osobno! — Wydarto mi język — opadłe usta zębów nie przykrywają — patrz! patrz! jak one sterczą! Dla tego mowa moja nie mogłaby być dla wszystkich zrozumiałą — ale ty! — ty mnie zrozumiesz! — Dręczysz się — ale musisz wysłuchać do końca.

Pokutuję i cierpię za grzech śmiertelny mojego syna — Dusza moja, blakająca się po całej twoich przodków ziemi, nie ma spoczynku. Z rozrządzenia wyższego przeznaczono, aby w pewien przeciąg czasu, ciało moje pragnęło się zrosnąć, połączyć w jedną całość, ale je znów piekielna rozłacza siła. — Wtenczas cierpię straszne męczarnie. — Czuję, jak szarpią moje cząstki, które się odradzają na nowo, aby cierpieć na nowo. Okropność tortur, o jakich może słyszałeś, jest niczem w porównaniu z temi mękami, jakich wtenczas doznaję. — Cząstki mego ciała na rozstajnych drogach trątuja konie swojemi kopytami — krew moję, która wtenczas płynie strumieniem, psy zgłodniałe liżą — wnętrzości moje szarpią

zarłoczne zwierzęta — a ja to czuję, jak gdybym żyła na świecie. — Mniemałeś oszukać piekło, sprzedając moje ciało — a nie wiesz, nikczemny zbrodniarzu, żeś razem sprzedał i twoje sumienie i podłą duszę, na którą już niedługo czekać będzie twój przyjaciel Boruta — Przekleństwo tobie — przekleństwo!!!

Biada mi biada! wyjęknął starosta i bez zmysłów padł na łoże...

Słońce wysoko już było na niebie, kiedy przyszedł do przytomności. — Długo zbierał myśli, i długo sobie przypominał wszystko, co zaszło téj nocy. — Sen to był okropny — sen i nic więcej! — Zwołał służących i pytał o gości. — Goście się rozjechali, kilku tylko najprzywiązanych pozostało. — Mniejsza o to! — pozostałych tém lepiej uraczę. — Powieździe marszałkowi, że dziś będzie uczta, okazalsza niż kiedykolwiek. — Żeby żadnego z nadwornej kapeli nie brakowało! Chcę się weselić — niech żyje weselość! Studzy! ciskam wam złoto — chwytajcie — i weselcie się razem zemną. — Studzy chwytały złoto, a jednak ich nie zwiodła udana weselość Pana. — Wyszedszy spełnić dane rozkazy, rzekł jeden do drugiego: Dziwne rzeczy dzieją się z naszym panem. — Widać rozpacz na pooranem czole, a udaje weselość, jakby go kto do tego przymuszał. — Bracia! diabła w tém musi być sprawa! Oj pewnie że nie co innego. — Dziś rocznica śmierci naszej dobrej starszej Pani — Panie święć nad jej duszą! a starosta chce się weselić, jak w rocznicę ślubu lub narodzin pierworodnego syna. Wiecie bracia, to złoto mnie parzy, jak blaszki rozpalonego żelaza. — I mnie! — I mnie! odpowiedzieli inni. — Wiecie jakie jest moje zdanie? Oto, jak pannie po ukończonem jadle zaczną pić podług zwyczaju, my cicho wyniesiemy się do zamkowej kaplicy, zmówimy pacierz i litanią do Najświętszej Maryi Częstochowskiej, za duszę s. p. matki pana starosty, a to złoto, co nas tak niepokoi, oddamy Bogu na ofiarę. Dobrze mówisz, pocziwy Tadeuszu! wszy-

sey chętnie cię usłuchamy, tak się stanie jak mówisz. — Rozeszła się drużyna.

Krótkie są dni grudniowe, starosta nie lubił szarzej godziny—jak tylko zmierzchać się poczęło, rzęsiście zamek oświecono. Nadworna kapela hucznie brzmiała w jadalnej komnacie. Stoły gięły się pod ciężarem zastawionych sreber. Kiedy służący pomiarkowali, że już nadeszła stosowna pora—a było blisko północy, za danym wzajemnie znakiem, rozeszli się zwolna, pojedynczo, by się zebrać w zamkowej kaplicy.

Pobożni i wierni słudzy porospalali żałobne światła na ołtarzu, a ukleknawszy, zaczęli śpiewać litaniją do Najś. Boga Rodzicy. Za ledwo pierwszą pieśń skończyli, uczuli że się zamek wstrząsł w swoich posadach. Zadrżała ziemia, a długi podziemny łoskot do grzmotu podobny, ogłuszył prawie modlących się.— Jezus Maryja ratuj nas grzesznych! zawołali, i na twarz upadli, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca. Wielka jasność przez zamknięte strachem dobytą się powieki. Wszystko było w płomieniach, okropniejszy huk się ponowił, ale już nie podziemny, lecz taki, jaki prawią walejące się mury, a kaplica stała niewzruszona. Ochłonawszy z przestrochu, wyszli z kaplicy. Nowy okropny widok przeraził ich trwogą. Ujrzeni zamek rozwalony, a płomienie i dym duszący, dokoła gruzy otaczał.

W środku płomieni, na niedopalonej belce, stał diabeł Boruta, a obróciwszy się do strwożonych służących, rzekł: wasz pan sprzedał mi ciało matki za złoto, a głupiec nie wiedział, że przez to sprzedał i swoje i swoich przyjaciół dusze, bo wszyscy, co dziś z nim bankietowali, do mnie należą. Do was nie miałem prawa, boście i mego złota nie użyli i byliście w miejscu, gdzie się na was targnąć nie miałem siły..

Tak skończył opowiadanie staruszek — ścisnął za rękę i wyszedł. Gdy sam zostałem, wziąłem się zaraz do pisania, aby za świeżej pamięci wiernie opowiedzieć.

Relata referro.

